

**REKOLEKCJE**  
**Z BENEDYKTEM XVI**  
dla  
**ZAKONU RYCERSKIEGO**  
**ŚWIĘTEGO GROBU W JEROZOLIMIE**

wygłoszone przez

**ks. prof. JERZEGO SZYMIKA**

**JASNA GÓRA, 8-10. III 2019 r.**

## **Spis treści:**

<b>Konferencja I:</b>	<b>WIARA</b>	<b>str. 3</b>
<b>Konferencja II:</b>	<b>PRAWDA</b>	<b>str. 8</b>
<b>Droga Krzyżowa:</b>	<b>Hilasterion</b>	<b>str.15</b>
<b>Homilia I:</b>	<b>O radości</b>	<b>str.22</b>
<b>Konferencja III:</b>	<b>SUMIENIE</b>	<b>str.28</b>
<b>Konferencja IV:</b>	<b>WOLNOŚĆ</b>	<b>str.33</b>
<b>Konferencja V:</b>	<b>MARYJA</b>	<b>str.41</b>
<b>Homilia III:</b>	<b>O pierwszeństwie Boga</b>	<b>str.46</b>

# WIARA

Jak się łączą – wiara, nadzieja, miłość?

Nadzieja jest stąd, że wiara mówi prawdę w sprawie miłości (i we wszystkich innych).

Bo wiara jest niczym innym jak nadzieją na miłość. Która nie przemienie.

A chrześcijaństwo jest w swej istocie wchodzeniem na drabinę, która od wiary prowadzi do miłości i tym samym otwiera horyzont nadziei.

\*

Wiara jest zatem pierwszym szczeblem drabiny.

W 2006 roku Benedykt XVI odbył jedyną za swego pontyfikatu pielgrzymkę do Polski. Jej hasło: „Trwajcie mocni w wierze”. W homilii na krakowskich Błoniach tak opisał akt wiary, przeczytajmy uważnie:

„Wiara jest bardzo osobistym aktem człowieka, który realizuje się w dwóch wymiarach. **Wierzyć to przede wszystkim znaczy uznać za prawdę to, czego do końca nie ogarnia nasz umysł.** Trzeba przyjąć to, co Bóg nam objawia o sobie, o nas samych i o otaczającej nas rzeczywistości, także tej niewidzialnej, niepojętej, niewyobrażalnej. Ten akt przyjęcia prawdy objawionej poszerza horyzont naszego poznania i pozwala dotrzeć do tajemnicy, w której zanurzona jest nasza egzystencja. Jednak zgoda na takie ograniczenie możliwości rozumu nie przychodzi łatwo. I tu **wiara** jawi się w swoim **drugim wymiarze**: jako **zaufanie** osobie – nie zwyczajnej osobie, ale **Chrystusowi. Ważne jest, w co wierzymy, ale jeszcze ważniejsze, komu wierzymy**”.

Dwa sprzężone ze sobą nierozdzielnie wymiary - w co wierzymy (1) i komu wierzymy (2). Ten drugi jest tu kluczowy, w debatach o wierze jakże często i niesłusznie pomijany.

\*

Wiara jest wydarzeniem, które rozgrywa się w przestrzeni niczym nie naruszonej wolności. Bóg jest bowiem zawsze Bogiem, czyli kimś, kto się nigdy i nikomu nie narzuca (mogą się narzucać Jego grzeszni słudzy – to już temat na inną opowieść – ale nie On, nieskończenie szanujący wolność swoich stworzeń). Bóg nigdy nie wymusza ludzkiego „tak”.

I wolność jest warunkiem absolutnie koniecznym dla wiary rozumianej jako „zaufanie Chrystusowi”. Bo chodzi w tej relacji – zaufania osobie i słowom Chrystusa, fundamentowi chrześcijańskiej wiary, wymiarowi najważniejszemu wiary, pierwotniejszemu niż sama treść wiary – o miłość. A to ona jest zawsze najdoskonalszym owocem wolności. Miłość i zaufanie nie są możliwe poza wolnością.

Wiara polega na głębokiej, osobistej relacji z Chrystusem, relacji opartej na miłości tego, który nas pierwszy umiłował (por. 1 J 4,11). Wzorcową jest tu dla nas duchowa droga św. Pawła, jego relacja z Chrystusem, jego miłosne przyłgnięcie do Pana: „Wiem, komu uwierzyłem” (2 Tm 1,12). Tu splatają się oba wątki, oba wymiary wiary w nierozdzielny węzeł złożony z tego, co obiektywne i subiektywne, rzeczowe i emocjonalne, istotnie treściowe i najgłębiej osobowe. Uznanie prawdy jest pokochaniem Prawdy, i odwrotnie.

Wiara jest wewnętrznym, miłosnym spotkaniem i doświadczeniem Prawdy, dzięki czemu poznana zostaje jej treść, która jest zarazem treścią i paliwem tej miłości.

\*

Wiara jest nawróceniem. Wymaga decyzji i zwrotu, zgody na zasadniczo inną niż powierzchowna postawę wobec świata. Przyznaniem prymatu tego, co niewidzialne. Zgody na to, że bezwarunkowa miłość będzie odtąd „miejscem” rozumienia i przeżywania życia, jego punktem ciężkości. „Inną niż powierzchowna” - to znaczy nie łudząc się, że rzeczywistość sięga jedynie do granic tego, co uchwytnie (zmysłowo, wyłącznie „rozumowo”) i mierzalne; mało tego: opowiadając się za tym, że to, co niewidzialne, jest właściwą rzeczywistością, która utrzymuje i umożliwia wszelką rzeczywistość.

Dla Boga bowiem nie istnieje inna droga ocalenia człowieka poza tą właśnie: poza skandalem wiary, poza pokorą wiary. Skandaliczna jest pokora wiary... Bo przecież „pole działania” wiary nie zapewnia poznającemu (wierzącemu) żadnego wewnętrznego kontaktu z prawdą, w tym sensie, że to, co poznajemy przez wiarę, jest nam dane „tylko” przez wiarę (nie inaczej), to znaczy: nie staje się to wewnętrznym naszą własnością, my tego nadal nie „wiemy”. Oto bolesna pokora wiary...

\*

Wiara w Boga i Bogu jest dobrem, z którego płynie wszelkie inne dobro. Wśród wierzących zdarzają się grzechy i zbrodnie (za którymi, rzecz jasna, zawsze kryje się

osłabienie wiary), to jednak nie wolno przeoczyć tu bilansu dobra. Przykład tylu prostych, świętych ludzi, którzy swą dobroć zawdzięczają wierze, pokazuje, że wiara ma potężny wpływ na przemianę świata. Pomyślmy zwłaszcza o starszych ludziach, którzy przez wiarę dojrżeli do wielkiej dobroci. Bije od nich jakiś blask wewnętrzny. Kto tego doświadczył – wie o czym mówię.

I odwrotnie: społeczeństwo, w którym umarła wiara, stało się brutalne, okrutne, bojaźliwe, chore, zgryźliwe, egotyczne, wrogie, stale gotowe do skoku – jak drapieżnik.

To ważne, powiedzmy to jasno: źródłem zła wierzących nie jest ich wzrost wiary, ale osłabienie ich wiary. I trzeba też pamiętać, ku własnemu nawróceniu, że to nie tyle ludzie dzielą się na wierzących i niewierzących, co serce każdego człowieka rozdarte jest pomiędzy wiarą i niewiarą.

\*

Wiara jest najgłębiej powiązana z rozumem i rozumieniem. Sama w sobie jest rozumieniem i nigdy nie „skreśla” rozumu ani odeń człowieka nie „uwalnia”. Wręcz przeciwnie: wiara daje rozumowi oparcie, wyzwala go od grożących mu fobii i miałości (pochodzącej z zapatrzenia w samego siebie), jest dlań stałym zadaniem bycia sobą. Rozum z kolei dba o to, by wiara sprostała zadaniu odpowiedzialnej racjonalności, by nie osunęła się w irracjonalizm.

Najważniejsze tu: wiara nie jest ciałem obcym we wnętrzu człowieczeństwa, ale spaja, integruje i oczyszcza poszczególne władze i elementy; prawdziwa, nie podtruwana (agnostycyzmem, ateizmem), nie zatruta (grzechem, zwątpieniem) – nigdy ich (władz i elementów człowieczeństwa) wzajemnie nie izoluje ani ich nie rozbija. Nie niszczy człowieka, ale rozwija.

\*

Wiara jest sprawą osobistą, ale nigdy nie jest sprawą prywatną: właśnie dlatego, że jest aktem wolności, wiara wymaga odpowiedzialności społecznej za to, w co się wierzy. To po pierwsze. A po drugie: pierwszym podmiotem wiary jest Kościół i choćby z tego powodu przebija ona – ze swej istoty – granicę prywatności.

Kościół „wierzyć każe”... Ten punkt jest newralgiczny i bez niego nie ma prawdziwie ludzkiego aktu wiary. W skrócie: posłuszeństwo obecne w tym akcie (czyli też: śmierć

własnego „ja” - „już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus”, Ga 2,20) wyrywa człowieka z jego samotności i zagubienia, braku orientacji i prowadzi go w stronę „bezkresu”, czyniąc go wolnym i właśnie ta wolność jest powiązana głęboko z aktem chrześcijańskiej wiary. Prosto i mocno: słowa Jezusa i treść naszej wiary są zawsze większe od naszego rozumu, za każdym razem przewyższają naszą inteligencję, w każdym przypadku prowadzą nas w bezkres, który nas przerasta, który jest „nowy”, w którym „jeszcze nie byliśmy”. Wierzyć znaczy poddać się tej wielkości i skromnie, powoli do niej dorastać.

Bóg uważa nas za zdolnych do wielkich rzeczy; do prawdziwej wielkości.

\*

Człowiek wierzący nadal błąka się, błądzi, grzeszy. Jest grzesznikiem.

Lecz właśnie to miejsce – niedorastania człowieka, zdrady, sprzeniewierzenia, ohydy zła i grzechu – jest najwyższym dowodem tego, jak niepokonalne jest chrześcijaństwo, jak nie do wygaszenia jest światło wiary i czym właściwie jest Łaska – wiary, przebaczenia, jako taka. Problemy z praktyką wiary nie są bowiem argumentem przeciwko wierze, ale za nią. „Wierzę, zaradz memu niedowiarstwu” (Mk 9,24). Również ciemność, w której trudno jest chodzić i widzieć, przeniknięta jest spojrzeniem i objawieniem Pana istnienia i czasu. Jego ręka gotowa jest zawsze ująć naszą rękę, by nas prowadzić podczas naszej ziemskiej wędrówki (zob. Ps 138,10). Jest to zatem bliskość nieoznaczająca sądu, który wywołuje przerażenie, lecz będąca wsparciem i wyzwoleniem.

Jest wiele rodzajów mroku. Spróbujmy je nazwać.

Jest ciemność głębokiego kryzysu wiary, który dotknął wielu. Są całe połacie naszego świata, w których trudno jest wierzyć, a żyjącym (czy wegetującym) w nich licznym współczesnym wydaje się to niemożliwe – tak pola te są wyjałowione religijnie, tak zlaicyzowane, przeorane agresywnym antychrześcijańskim sekularyzmem, oddane pod panowanie bożków (rozumu, dobrobytu, seksu, pieniądza, swawoli), zdetradycjonalizowane, wypalone grzechem indywidualnym i strukturalnym.

Jest wiara banalna, obniżona do pewnego poziomu filozofii, którą wypreparowano z Biblii, dogmatów i widzimisię – eklektycznie, selektywnie, sondażowo, co komu wygodne, miłe i niegroźne dla nawrócenia.

Jest wiara gnostycka, „otwarta”, „wysmakowana” i uczona, arogancka wobec wiary maluczkich, pełna pretensji do Kościoła.

Jest ogromny w wielu dzisiejszych kulturach problem utrudnionej inkulturacji wiary, kiedy to wiara trafia „na ścianę” kultury (i odbija się od niej jak groch), z której wykarczowano naturalną kiedyś dla niej wewnętrzną dynamikę odniesień transcendentnych, czy na estetykę, która odsyła do samej siebie, a która już tylko prowokuje i przekracza granice obyczajowe, a nie te, których przekroczenie jest drogą do tego, co wieczne i nieskończone... Inne, wiele innych.

Lecz „ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny” (2 Kor 12,10). Stąd apel Benedykta XVI, wtedy już prawie 85-letniego, zafrasowanego, ale pełnego żarliwej, niezłomnej wiary. Słowa z *Porta fidei*, z odniesieniem do Pawła, ale bardzo osobiste:

„Będąc już u kresu życia, Apostoł Paweł prosi swego ucznia Tymoteusza, by «zabiegał o wiarę» (2 Tm 2,22) z taką samą stałością, jak kiedy był młodym człowiekiem (por. 2 Tm 3,15). Czujemy, że ta zachęta skierowana jest do każdego z nas, aby nikt nie był leniwy w wierze. Jest ona towarzyszką życia, pozwalającą nam dostrzegać wciąż na nowo cuda, które czyni dla nas Bóg”.

# PRAWDA

Jak pisał Georges Bernanos, „nie gra się o własny los kostkami hipotezy”<sup>1</sup>. Wątpliwości (ostrożne hipotezy, niepewne przekonania etc., etc.) są, co oczywiste, arcyłudzkie, bywają (z)wiązane dotkliwie z kondycją ludzką i człowieczym losem (właśnie o ten los toczy się gra – na śmierć i życie), ale nie da się na nich skonstruować „niczego pewnego”; przede wszystkim nie da się na nich zbudować domu życia, bo są piaskiem jedynie, nie skałą; sceptycyzm nie jest fundamentem życia. I nie może być. Jedynie w prawdzie da się zakorzenić życie, ugruntować sens.

Dlatego nadzieja chrześcijańska sprowadza się ostatecznie i po prostu do tego, że mówi ona prawdę. To istota sprawy.

Jeśli komuś szczególnie wiele zawdzięczam w wywodzie, który przedstawię, jest nim Joseph Ratzinger/Benedykt XVI. Pojęcie prawdy znalazło się w samym jego zawołaniu biskupim i od 1977 roku współtworzy motto jego życia i pasterskiej posługi: „Współpracownik prawdy” – zwrot z Trzeciego Listu św. Jana (3 J 8).

Tak też rozumiem zadanie Kościoła i jego teologii: „współpracownik prawdy”. I nie chodzi o prawdę „naszą”, przeciwko „ich” prawdzie. Nie, chodzi o prawdę jedyną, która jest niewygodna zarówno „dla nich”, jak „dla nas”, dla mnie. Bo wymaga nawrócenia. A to jest zawsze bojkowaniem. Co warto podkreślić w przededniu Wielkiego Postu, w wigilię Środy Popielcowej

\*

Pytania.

Czym właściwie jest „chrześcijańska aspiracja do prawdy”? Wyższościową uzurpacją? Brakiem szacunku i pokory wobec innych? Arogancją z ignorancji (dyletanctwem, brakiem elementarnej wiedzy na temat nieusuwalnych komplikacji i trudności w docieraniu do prawdy – jeśli ta w ogóle istnieje; trudności, które czynią „docieranie do prawdy” praktycznie niemożliwym, a na pewno nieudowodnialnym)? Ciemnogrodzkim zamachem na tolerancję

---

<sup>1</sup> Cyt. za: *Obrazy nadziei. Wędrowki przez rok kościelny*, tł. K. Wójtowicz, Poznań 1998, s. 33. Jeśli nie podano inaczej, publikacje podane w przypisach są autorstwa J. Ratzingera/Benedykta XVI.



i pluralizm? Czy prawda jest dostępna człowiekowi? Czy opłaca się jej szukać? Czy poszukiwanie jej i poznawanie jako jedynej mistrzyni ludzkości nie jest aby jedynym naszym ratunkiem? Czy też odwrotnie: pożegnanie się z pytaniem o prawdę jest prawdziwym wyzwoleniem człowieka otrząsającego się ze spekulatywnych mrzonek i biorącego w końcu sprawy w swoje ręce?

Jak to jest w rzeczywistości? Jak się rzeczy faktycznie mają? I czy jesteśmy w stanie choćby na niektóre z nich odpowiedzieć? Czy też jesteśmy (być może) skazani na milczenie... Czemu służymy – jako Kościół, jako teologowie: pewności prawdy czy niepewności hipotez? A co za tym idzie: komu?

Dominujące w tej sprawie stanowisko nowożytnej filozofii, wprowadzie nigdy nie całej, ale jednak jej najgłośniejszego i najbardziej wpływowego nurtu, można określić najładniej jako sceptycyzm wobec istnienia i poznania prawdy. Jest tak od nominalizmu przynajmniej, poprzez kartezjanizm, kantyzm, wiele *mainstreamowych* filozofii oświecenia, XIX i XX wieku po czołowych postmodernistów. Obecną sytuację dałoby się opisać następująco: w sferze nauki i etyki (moralności publicznej) koncepcja prawdy (a stąd i wolności) XVIII-wiecznego oświecenia stanowi nadal podstawę dominujących kultur filozoficznych i politycznych Zachodu, pytanie o prawdę, niegdyś fundujące uniwersytety, zostaje na nich marginalizowane albo wręcz z nich usuwane jako „nienaukowe”, a roszczenie do poznania i wyrażania prawdy jako wspólnej i stąd wiążącej wielkości ukazuje się jako anachronizm i sprzyjająca fundamentalizmowi wszelkiej maści tendencja, jako „dziwaczna średniowieczna arogancja”<sup>2</sup>.

Gwałtowność i zawziętość, z jaką stanowisko to jest głoszone, a zwłaszcza bronione poprzez zwalczanie przeciwnego (co dzieje się zarówno w przestrzeni akademickiej, jak i medialnej), misyjna, wręcz neoficka nieraz żarliwość, z jaką jest propagowane i uznawane za bezdyskusyjne – zastanawia. Ratzinger twierdzi, że dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, iż w grę wchodzi „głębsze warstwy duchowe”, a mianowicie:

„[...] podejrzenie, że prawda istnieje rzeczywiście jako rozpoznawalna wielkość, a przez to jako wymaganie w stosunku do mnie działa jak obelga, wręcz jako niebezpieczny atak na opanowaną już formę życia. Przeciwno temu należy się bronić z pasją, która powstaje tam, gdzie się jest dotkniętym w najgłębszej części egzystencji”<sup>3</sup>.

---

<sup>2</sup> *Prawda w teologii*, tł. M. Mijalska, Kraków 2001, s. 88–89.

<sup>3</sup> Tamże, s. 89.

To w *Imieniu róży* Umberto Eco spotkałem słowa, które wyrażają rzecz bez ogródek i z prawdziwie leninowską prostotą: „Jedyna prawda to uczyć się, jak uwolnić się od chorej namiętności do prawdy”<sup>4</sup>.

*Voilà*: oświecony absolutyzm raz jeszcze. Oto fundament. Oto zarys starego despotyzmu w szatach nowej total(itar)ności – dyktatury relatywizmu.

\*

Tymczasem potrzebujemy obecności Prawdy w centrum budowanego przez nas świata. Świat bez prawdy w centrum zamienia się w nieobliczalną (bo prędzej czy później opartą na fałszu – on wejdzie w puste miejsce po prawdzie) i okrutną w swym interesownym panegotyzmie (tym bardziej podstępny, im bardziej zakamuflowany) władzę relatywizmu, gdzie granice między dobrem a złem będzie ustalała opinia przypadkowej większości<sup>5</sup>. Nawet chrześcijańska miłość bez prawdy stanie się jedynie magazynem dobrych intencji i uczuć, pożytecznych, ale marginalnych, nieprzekraczających tego, co jedynie sentymentalne i emocjonalne<sup>6</sup>.

Dlatego wszyscy potrzebujemy powrotu do tego, co prowokacyjnie nazwijmy „naiwnością chrześcijańską”, która polega na tym, że dla niej problem prawdy jest nadal aktualny oraz że wiedza odnosi się do prawdy. Także na tym, że medialna informacja i publicystyka odnoszą się do prawdy. Potrzebujemy starego chrześcijańskiego przekonania, że prawdę można poznać; nie: wytworzyć, zawłaszczyć, zagarnąć, użyć przeciw innym, manipulować nią – ale poznać, z całą pokorą i poczuciem ułomności tego poznania, jak wszystkiego, co ludzkie. Ale jednak, z wiarą w Stworzyciela i z całą dumą z człowieczeństwa: poznać. Prawda jest i jest osiągalna.

Największym błędem i fałszem relatywizmu jest to, iż ślepotę człowieka wobec prawdy uznaje on apriorycznie za rzecz nieprzewycięzalną. Dlatego jego dyktatura jest w gruncie rzeczy przemocą nieusuwalnej (rzekomo) ślepoty. Ratzinger:

„Dzisiaj dyskwalifikowanie jako zarazem naiwnych i aroganckich tych ludzi, którym można przypisać przekonanie o «posiadaniu» prawdy, stało się swego rodzaju sloganem. Twierdzi się, że tacy ludzie są niezdolni do dialogu, a zatem nie można ich ostatecznie traktować poważnie. Prawdy nikt bowiem nie

---

<sup>4</sup> U. Eco, *Der Name der Rose*, München 1982, s. 624 (wyd. polskie: U. Eco, *Imię róży*, tł. A. Szymanowski, Warszawa 1980).

<sup>5</sup> *Światłość świata. Papież, Kościół i znaki czasu* [rozm. P. Seewald], tł. P. Napiwodzki, Kraków 2011, s. 61.

<sup>6</sup> Encyklika *Caritas in veritate*, nr 2–3.

«posiada». Wszyscy mogą jej tylko poszukiwać. Trzeba jednak zapytać: cóż to za poszukiwanie, któremu nigdy nie wolno dojść do celu? [...] Wydaje mi się, że zarzut arogancji należy raczej odwrócić: czy twierdzenie, że Bóg nie może nam dać daru prawdy, że nie może nam otworzyć oczu, nie jest wyrazem arogancji? Czy powiedzenie, że urodziliśmy się ślepi i prawda nie jest naszą sprawą, nie jest wyrazem pogardy dla Boga? Czy uznanie nas za skazanych na błędzenie w ciemności nie jest degradacją człowieka i jego tęsknoty za Bogiem? Wszystko to prowadzi do rzeczywistej arogancji, która polega na tym, że to my chcemy zająć miejsce Boga i określać, kim jesteśmy, co mamy robić, co chcemy uczynić z siebie i ze świata. Poznanie i poszukiwanie nie wykluczają się nawzajem”<sup>7</sup>.

Powtórzmy: cóż to za poszukiwanie, któremu nie wolno dojść do celu? I kto ustala, że tak jest i ma być?!

Właśnie ostatnie zdanie powyższego cytatu zawiera spuentowaną syntezę katolickiego stanowiska w tej sprawie: poznanie i poszukiwanie nie wykluczają się nawzajem. Tak zwane katolickie „i” raz jeszcze okazuje się wyrazicielem i stróżem równowagi mądrości.

\*

Jak zatem można wyrazić prawdę? Czym/kim prawda jest? Co/kto jest prawdą? Powtórzmy i najśłynniejsze z tej serii pytań, jakie ktokolwiek komukolwiek kiedykolwiek zadał: „Cóż to jest prawda?” (J 18,38).

Nie otrzymawszy odpowiedzi od Jezusa, po kolejnych utarczkach słownych z Żydami, po ubiczowaniu i cierniem ukoronowaniu skazańca, Piłat wyprowadza odzianego w purpurowy płaszcz „króla żydowskiego” i powiada: *Idou ho anthropos* – „Oto człowiek” (J 19,5b). Sądzę, że (poza własną świadomością) wyrażając proroctwo i tym samym streszczając Dobrą Nowinę... Oto bowiem niepojęta, sięgająca prawdy samego Boga logika wydarzeń paschalnych połączyła w blasku Objawienia Piłatowe zdanie w pytanie i odpowiedź: „Cóż to jest prawda?” – „Oto człowiek”, oto ten skrwawiony strzęp człowieka jest prawdą, o którą z mieszaniną pychy, rezygnacji i cynizmu, bez większej wiary w istnienie odpowiedzi, pytasz... On jest prawdą o Bogu i o tobie, o życiu i śmierci, o wszystkim, co jest. A że kłamra łącząca te Piłatowe zdania nie jest tylko wytworem pobożnej fantazji chrześcijańskiego lektora, świadczy choćby to, że odpowiedź jest zgodna z zapisaną w Janowej Ewangelii, wcześniejszą o pięć rozdziałów definicją prawdy podaną przez Jezusa Tomaszowi, najśłynniejszą, jaką ktokolwiek komukolwiek kiedykolwiek podał: „Ja jestem prawdą” (J 14,6).

---

<sup>7</sup> *W drodze do Jezusa Chrystusa*, tł. J. Merecki, Kraków 2004, s. 74–75.

To właśnie zdanie jest nie tylko wszystkim, co na temat prawdy ma do powiedzenia chrześcijaństwo, ale i kamieniem węgielnym chrześcijańskiej wiary: nie jest ona pięknym, choć nieostrym konturem ukrytym za woalką mitu, ani magazynem dobrych uczuć, niepewnym samego siebie poprawianiem niedoskonałego świata, pozytywną ideą „jak inne”, „wyjaśnieniem nicości” (z zachowaniem miny dobrej gry: wszystko jest właściwie do kitu, ale to i owo zrobić jednak możemy...; rozpacz, nicość da się nieco roz-jaśnić)... Nie, wiara chrześcijańska ma rzeczywistą podstawę, jej nadziejorodna siła bierze się z prawdy. Bo to On, Wcielony Boży Logos (każde z tych trzech słów jest tu istotne) – podstawa logiki chrześcijańskiej wiary – jest prawdą. Oto fundament wszystkiego, co chrześcijańskie i w ogóle wszystkiego. To jeden i ten sam fundament. Już pierwsze wspólnoty chrześcijańskie to czuły, a z biegiem czasu odczucie to, pogłębiane przez doświadczenie i wiedzę, zamieniło się w przekonanie i pewność, że mianowicie „ich wiara nie jest częścią szczególnego obyczaju kulturowego, innego w każdym narodzie, ale należy do sfery prawdy, dotyczącej w równym stopniu wszystkich ludzi”<sup>8</sup>.

Wiara chrześcijańska tym właśnie się różni od wszelkiego typu gnozy (starożytnej i współczesnej), że ma dostęp do najgłębszej, ostatecznej rzeczywistości – do prawdy o tym, jak się rzeczy mają. Czyli do odpowiedzi na pytanie, jak to rzeczywiście jest ze mną, z nami, ze światem? Bo nie milczenie – jak chce wielu gnostyków – ale słowo (Logos) jest „ostateczną rzeczą” daną nam przez Boga.

Mówiąc Czwartą Ewangelią: „łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa” (1,17), który „mówi nam prawdę” (16,7), bo w swej najgłębszej istocie On nią jest (14,6). Taki też jest sens Jego Wcielenia i Paschy: „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie (18,37). I to też będzie przyczyną Jego śmierci: „usiłujecie Mnie zabić, człowieka, który wam powiedział prawdę usłyszaną u Boga” (8,40). To jest przyczyna Jego śmierci: Jezus umiera, ponieważ przypuszczono atak na prawdę; Jego posłuszeństwo jest trwaniem przy prawdzie przeciw spiskowi kłamstwa. Nie zniesie bowiem prawdy nigdy żadne kłamstwo: musi się albo nawrócić, albo uciszyć głos prawdy, choćby miało to oznaczać zamordowanie głosiciela... Ale też tu rodzi się zbawcze i zarazem wolnościowe zadanie wiary, cel istnienia Kościoła: „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (8,32).

\*

---

<sup>8</sup> Adhortacja *Verbum Domini* (30.09.2010), nr 92.

Tylko prawda wyzwala... To słowo Pana na temat związku prawdy i wolności słyszymy, widzimy i rozumiemy dzisiaj, po hekatombach XX wieku, w całym jego przepastnym wyzwaniu i całej jego wielkości. Tylko wolność prawdy jest prawdziwą wolnością. To bardzo ważna lekcja dla świata naszej współczesności, świata który pragnie wolności, lecz traktuje prawdę jako roszczenie i przeciwieństwo wolności. Tymczasem prawdy i wolności oddzielić się od siebie nie da i nie wolno, pod groźbą utraty obydwu.

Jezus: „...«aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu». Rzekł do Niego Piłat: «Cóż to jest prawda?» To powiedziawszy, wyszedł powtórnie do Żydów...” Przerwał więc rozmowę, uciął ją. A pytanie okazało się pozorne – nie czekało na odpowiedź. Znaczyło między innymi: „Przestań już, skończ teoretyzować. Lepiej zajmijmy się konkretami, przecież za chwilę umrzesz”. Bo pytanie o prawdę było dla wykształconego Piłata już samo w sobie pytaniem celowo źle postawionym, demaskującym naiwność (w najlepszym przypadku) samego problemu. Już samo postawienie takiego pytania równa się odrzuceniu go (dzisiaj to powszechne stanowisko). Ostatecznie Piłat zarówno Jezusowi, jak prawdzie – Temu, który jest prawdą – rzucił w twarz „Precz! Precz!” (J 19,15). Jeśli nie dosłownie, to jednak w istocie swego czynu: zaakceptował ów krzyk Żydów, dołączył doń własną decyzję – „wydał Go im, aby Go ukrzyżowano” (J 19,16).

Ale „precz” wobec prawdy źle się kończy dla tak wołających. Jest ona niezastępowalna niczym. *À propos* „lepiej zajmijmy się konkretami”. Carl Friedricha von Weitzsäcker mawiał: „Sądzę, że na dłuższą metę rozwijać się może jedynie społeczeństwo zorientowane nie na szczęście, lecz na prawdę”<sup>9</sup>.

Przeklęta wolność bez prawdy okazuje się zawsze, prędzej czy później, pseudowolnością niewolników. I łąduje przy świńskich korytach, żywiąc się strąkami przeznaczonymi dla świń, zazdroszcząc im, bo wieprze nie podlegają przekleństwu wolności. W najbardziej wysuniętych do przodu miejscach współczesnego rozwoju ten etap został już dawno osiągnięty, czego dowodem jest ekologiczny krzyk przeciw człowiekowi postrzeganemu jako niszczyciel bytu.

Lecz podkreślmy w tym momencie coś bardzo pocieszającego. Ponieważ prawdą jest Jezus Chrystus, więc jakkolwiek byłaby trudna, jak ciężkim brzemieniem byłoby obchodzenie się z nią, niesienie jej, cierpliwa wierność jej szukania, trzeba nam wiedzieć, że w sensie istotniejszym i dającym niegasnącą nadzieję, bardziej niż my ją to prawda nas niesie,

---

<sup>9</sup> *Prawda w teologii*, s. 42; *Wykłady bawarskie...*, s. 204.

albowiem nie jest ona czymś bezosobowym, lecz spotyka nas w Tym, który wziął na siebie cały nasz ciężar. A Ten, który jest wyzwalającą prawdą, jest zarazem ochraniająca nas miłością.

\*

„Dlaczego stawanie się prawdziwym oznacza stawanie się dobrym? Dlaczego prawda jest dobra – sama w sobie jest dobrem? Dlaczego obowiązuje sama przez się, bez konieczności wykazania się jakąkolwiek celowością?”<sup>10</sup> Dlaczego samo pozbawione sceptycyzmu postawienie pytania o prawdę budzi taki opór, taką furję, a z drugiej strony – takie poświęcenie jej obrońców? Dlaczego najbardziej bezbożne i nieludzkie imperia w dziejach świata były nieodmiennie oparte na gigantycznym kłamstwie? Co jest takiego w prawdzie, że aż tak pociąga człowieczy umysł i serce? Kto tam (w niej) jest?

Przekonany jestem, że odpowiedź leży w prostym zdaniu jednego z bawarskich wykładów Ratzingera: „Zagłębiwszy się w istotę prawdy, docieramy do pojęcia Boga”<sup>11</sup>.

On w niej jest.

I dlatego – powtórzmy – na dłuższą metę rozwijać się mogą jedynie ludzie i społeczeństwa nakierowane nie na szczęście, lecz na prawdę.

Temu właśnie służy Kościół i jego teologia.

---

<sup>10</sup> *Wykłady bawarskie...*, s. 205.

<sup>11</sup> Tamże, s. 206.

# Droga Krzyżowa<sup>12</sup>

## Stacja I. Jezus przed Piłatem

Stali.

Wycierali wargi z krwi,  
wydłubywali ludzkie mięso spomiędzy zębów.  
Trzymali szlauchy i butelki, rechotali.

Stał  
naprzeciwko nich.  
Milczał, krwawił.

Jak wdowi grosz wobec dzikich fortun.  
Umiłowany Boga

## Stacja II. Jezus bierze krzyż na ramiona

Cóż masz, czego byś nie otrzymał, synu.

Nie brak mi niczego, przyznaję, Panie.  
Nigdyś mnie nie oszukał niespełnioną obietnicą,  
jest jak być miało, znak, że z Twojej  
ręki jestem.  
Strzeż mnie i zachowaj.  
Przyglądaj się drodze,  
na której gasnę dla Ciebie, prostuj ją,  
licz moje kroki, nie licz za bardzo na mnie,  
bądź u kresu, jak byłeś u źródła.  
Niech Cię raduje równy stukot szyn, po których się zbliżam do Ciebie  
i nierówny mojego serca,  
brzozy i sosny, któreś stworzył,  
i ja – spalona trawa

## Stacja III. Jezus upada po raz pierwszy

Grzech nie jest żydowskim wynalazkiem, *Herr Friedrich*.  
Grzech w ogóle nie jest wynalazkiem, Panie Nietzsche.

---

<sup>12</sup> Wszystkie rozważania są wierszami bądź fragmentami wierszy z tomu „Hilasterion” („Księgarnia św. Jacka”, Katowice 2014) specjalnie dobranymi do stacji drogi krzyżowej w Krypcie Katedry pw. Chrystusa Króla w Katowicach.

Diabeł nie odróżniał komunizmu i nazizmu,  
były mu jak dwa dorodne konie, którymi powoził.

Świat jest mu jak bitwa pod Gettysburgiem:  
bez strategii, na wyniszczenie.

Teraz toczy przekrwionym okiem po Europie i naszym wieku.  
Szuka nowych koni.

Kijowski Majdan, wyspa Utoya, belgijski parlament, aborcyjne kliniki.  
Wszystko mało

#### **Stacja IV. Jezus spotyka swoją Matkę**

byłem jedynie tęsknotą, niczym więcej,  
tęskniącym, nikim więcej.  
A rozmyślając o naszym świecie i o nas,  
prosiłem, bezradny, o zmiłowanie,  
dla mnie i dla świata.

Niedaleko, w czujnym pogotowiu,  
na granicy materii i ducha, i po obu jej stronach,  
krzątała się wokół moich myśli i serca  
Ona,  
Matka Dobrej Rady;  
z dobrą radą (Synkiem) na biodrze

#### **Stacja V. Szymon z Cyreny pomaga Jezusowi**

a ty patrz i zobacz,  
co się z tobą dzieje:  
do małych krzyży  
jakie wielkie łaski  
podwieszono

a ty patrz i zobacz,  
co się z tobą dzieje:  
dlatego się dzieje,  
żeby On mógł być blisko,  
żeby cię nie stracić

a ty patrz i zobacz

#### **Stacja VI. Weronika ociera twarz Jezusowi**

nie tylko nasze;



jego serce jest o wiele bardziej niespokojne,  
skrajnie.

O nas.  
Drży o mnie,  
czuję to, wiem.

Jego serce szuka tych,  
którzy podzielaliby jego namiętność  
do ludzi.

Woła, kołacze, uwodzi proroków.  
Uwiódł i mnie, żeby mnie tym samym  
uratować.

Moja nadzieja jest cicha i wielka,  
że kiedy wróci,  
powie:

miałeś staranie o moich.  
Moje dziecko,  
moja krew

## **Stacja VII. Jezus upada po raz drugi**

Ale w Polsce  
ciągle zdarzało się księżom tak zadomowić w konfesjonale,  
że w nim zasypiali. A w kropielnicach i w słoiach po piwnicach  
zalegały hektolitry wody święconej, poświęcone ziela w odrzwiach,  
figurki świętych w szczytach domów, furkoczące na wietrze wstążki  
przy polnych i leśnych krzyżach.

*O biedacy, mówiła jadąca ze mną 80-kilkuletnia Ślężaczka,  
zerkając w Tychach na billboard z napisem „Ateiści są boscy”.  
Jeszcze będziecie robić różańce z chleba  
i dopiero to was nawróci.*

*Jeśli się dorwiecie czasem do kawałka chleba.  
Jeśli was spotka taka łaska,  
dodała.*

## **Stacja VIII. Jezus pociesza płaczące niewiasty**

Słuchałam dziś kazania o płaczu:  
o tym, jak z bezradności płakał Ezaw,  
gdy nie otrzymał błogosławieństwa,  
jak płakali Izraelici na pustyni,

że nie mogą jeść mięsa, ogórków i cebuli,  
jak płakał Dawid po stracie Absaloma,  
jak płakała wdowa nad zmarłym jedynakiem,  
Jezus nad grobem Łazarza, bo go miłował;  
i w końcu nad Jerozolimą.

Wszystko mam za nic, wiesz;  
to niezwykle.

Wiem.

Jeszcze zrozumieć Dawida tak jak go nigdy do tej pory nie rozumiałem,  
jego słowa: „kto by dał, bym ja umarł zamiast ciebie?”

\*

Mama mówi, że to się szatanowi w naszej epoce udało: atak na kobiety.  
Rzekłbym: częściowo.  
Bo nie na wszystkie.

### **Stacja IX. Jezus trzeci raz upada**

Nie bój się,  
należysz do Boga.

Jak wtedy, tak teraz,  
jak z Pawłem, tak z tobą:  
zewnątrz walki, wewnątrz obawy.  
I księżyc ten sam.

Bóg, Pocieszyciel pokornych,  
jak wtedy, tak teraz:  
jak dźwigał tamtych,  
tak podniesie na duchu i ciebie.

Żebyś mógł pocieszać tych  
co są w jakiegokolwiek udręce,  
pociechą, której doznajesz  
od Niego.

Nadzieja jest stąd,  
że wiara mówi prawdę.

Nie bój się;  
wierz tylko,  
a będzie ocalona.

A z nią świerszcze, miasto,  
księżyc i gałęzie

jesionów.

### **Stacja X. Jezus zostaje z szat obnażony**

Co ja zrobię bez ciebie, moje ziemskie życie,  
bez twoich zmysłów, olśnień,  
nawet z bólem nie umiem się rozstać,  
ciemnych chwil mi szkoda.

Wystarczysz sam, prawda?  
Ani oko, ani ucho?  
Zaufam i wtedy pojmę, zrozumiem?  
Przejdę z życia w śmierć jak z czerwca w lipiec?

Boże mój, Boże:  
poradzisz sobie ze mną?

### **Stacja XI. Jezus przybity do krzyża**

Bóg dysponuje niemożliwą,  
niewyobrażalną, nieznaną rezerwą.  
Wprowadza ją suwerennie,  
na własnych warunkach.  
*Deus providebit.*

### **Stacja XII. Jezus umiera na krzyżu**

Gdziekolwiek spojrzysz – On tam był przed tobą.  
Cokolwiek słyszysz – On zapisał nuty.

Jedynie w mrok  
idziesz sam, bez Niego.

*Abandonato, Desolata, Kyrios.  
Eloi, Eloi...*

Dopiero potem,  
po tamtej stronie świata,

gdy ten na lewą stronę wywrócony będzie  
(choć strona prawa pozostanie sobą),

ocali ciebie.  
Pod dnem opuszczenia

### **Stacja XIII. Jezus zostaje zdjęty z krzyża**

Ukrzyżowany  
w cudownej poświacie,  
między złamanymi bólem,  
Matką i Janem.

Jak drogowskaz Zmartwychwstania,  
w pastelowych, spłowiałych kolorach gotyku.

Chwila wytchnienia po wyczerpującej agonii.  
Odpoczywa, nie umarł, tylko śpi –  
– jak dwunastoletnia, którą wskrzesił.

Przyglądam się dłoniom. Długim, szczupłym rękom,  
nienaturalnie wygiętym po torturach.

Szczęśliwy jestem przy Tobie, Panie,  
pomimo deszczu, wichru i wszystkich moich starości,  
o których nie da się nie myśleć  
a nie da się mówić.

Odpoczywam

### **Stacja XIV. Złożenie Jezusa w grobie**

*Pan odbuduje Jeruzalem.  
On leczy złamane serca, Alleluja!*

Musi się stać wszystko to, co stać się musi.  
Kielich – do dna.  
Twoja wola, nie moja. Do końca.

Właśnie zmierzch przechodzi w noc,  
powoli, do skutku. Coraz głębsza  
czern nad Rzymem.

Za kilka godzin to się odwróci.

### **Stacja XV. Zmartwychwstanie**

Tylko z tyłu Go zobaczysz,  
tylko wiarą dotkniesz,  
po owocach rozpoznasz,  
po szmerze łagodnym.

Potem

jest to zawsze jasne:

że był, że Go nie było.

Ale póki co, kiedy trwa sprawa i pytanie,

żaden znak nie będzie ci dany

poza znakiem Jonasza,

poza śmiercią i życiem.

Jest On bowiem z niespotykaną poza Nim dyskrecją:

nikt i nic tak dyskretnie nie jest jak On jest.

Na pewno nie jest w nagłym ochłodzeniu oka,

ani w skrzywieniu warg (chyba że z bólu).

Ale

kiedy skrada się miłość,

niepewna samej siebie,

na łamliwych łapkach,

twoja czujność niech rośnie:

*od tych bywa nalezion,*

*którzy go nie kuszą (Mdr 1,2a)*

# O radości

(Mt 9, 14-15)

Co to za czas, o którym mówi dziś Jezus, czas, kiedy zabierają pana młodego, czas postu?

Kim jest pan młody i co znaczy go zabrać?

Kiedyś, w dzień kobiet, widziałem przez szklane ściany wielkiej dyskoteki, kilkaset tańczących pań. Przy żadnej z nich nie było pana. Ani młodego, ani starego. Nie słyszałem muzyki, widziałem jedynie płynne bądź gwałtowne ruchy wielu kobiet pozbawionych oblubieńców.

Pod powłoką niesłyszanej przeze mnie melodii, w pulsie rytmu, którym drgały ściany dyskoteki, czaił się smutek i post tych kobiet. Widziałem ten smutek przez szkło ścian, pod makijażami na twarzach.

Jak dobrze, że Oblubieniec jest z nami.

+ myśli i tezy z:

J. Ratzinger, Hirtenbrief zur Fastenzeit 1979, w: tenże, Einführung in das Christentum. Opera omnia, Bd. 4, Freiburg im Breisgau 2014, s. 830-837 [dostępny w polskiej wersji Opera omnia – tom IV - pt. „List na Wielki Post 1979 roku”].

Błogosławiony Piotr Jerzy Frassati w liście do siostry:

„pytasz mnie, czy jestem wesoły, a jakże mógłbym nie być? Póki mi Wiara daje siłę, zawsze wesoły! Katolik przecież nie może nie być wesoły. Smutek zasługuje na wygnanie z serc katolickich. Smutek to co innego niż ból, smutek jest najgorszą ze wszystkich chorób. Choroba ta niemal zawsze wyłania się z ateizmu. Cel zaś, do którego zostaliśmy stworzeni, odsłania przed nami drogę może najeżoną wieloma cierpieniami, ale bynajmniej nie drogę smutną. Jest ona radością także poprzez cierpienie”.

Nie będziemy za te zdania przeproszać niewierzących braci, powtórzymy je jeszcze mocniej: smutek (nie mylić z cierpieniem i bólem), najgorsza ze wszystkich chorób, niemal zawsze wyłania się z ateizmu. Nie będziemy ich za to przeproszać, bo nam na nich naprawdę zależy; na ich wierze, na ich szczęściu, na ich radości. A reguła jest taka:

Bez Boga – wszystko nudne, rozpaczliwe, wszystkiego za mało, wszędzie pożerająca samą siebie pustka. Ze śmiercią w tle.

Z Bogiem – życie jest radością. Bóg jest naszą radością i pocieszeniem, ostoją i siłą. Wiara w Boga jest radością, bo jest pewnością, że każdego z nas osobiście kocha jego Stwórca i Zbawca.

Wiara smakuje wewnętrzną pogodą życia.

Nie ma ona (pogoda życia) nic wspólnego z naiwnością, za to sporo z mądrością i realizmem. Kapitalnie udało się to wyrazić Benedyktowi XVI w opowieści o „pocieszonym smutku”, przy pomocy metafory cieni i światła:

„postawą chrześcijan nie jest negacja smutku, oczywiście także nie beznadziejność (do której ma powody materialista), ale pocieszony smutek. Oznacza to: smutek pozostaje i ma swoje racje, ale jest on zarazem pocieszonym smutkiem, smutkiem, który mimo wszystko, bez względu na całą jego powagę, może i powinien być pocieszony i wewnętrznie ogarnięty przez przeważającą pociechę. (...) Chrześcijanin nie upiększa ani nie zaprzecza głębokim cieniom, jakie kładą się na istnienie człowieka w tym świecie. A mimo to nawet te cienie są jeszcze dla niego znakiem nadziei, ponieważ on wierzy i umie wierzyć, że są to cienie, jakich nie byłoby bez wielkiego światła, które je rzuca. A jeśli cienie należą do teraźniejszości, to przyszłość jest tym bardziej światłem”.

\*

Skąd w ogóle radość i nasze prawo do niej? Gdzie jej źródło?

Radość płynie w nasz świat z wysokiego źródła. Macierzysta góra tej krynicy to Golgota – radość prawdziwa wypływa z samego środka męki Jezusa. To bowiem właśnie Jezusowa śmierć sprawia, że nasze istnienie nie jest drogą ku śmierci, że nie jest mgnieniem, które wyszło z niczego i w nic się obróci. A przecież tylko wówczas możliwa jest trwała radość, kiedy to nie śmierć i nie nicość okażą się ostatecznym finałem.

Śmierć Chrystusa jest więc prawdziwej radości centrum a Jego Zmartwychwstanie upewnia nas, że On nie tylko „stał się”, ale już odtąd wiecznie „jest” człowiekiem, że człowieczeństwo zostało przezeń trwale wprowadzone w istotę Boga. Tym samym człowiek przestaje być absurdalny i bez-nadziejny. Nasze ciało i nasza krew mają wówczas swoje nienaruszalne miejsce w Bogu, a powód do radości swoją niezniszczalną, bo wielkanocną, podstawę. Nadzieja zdobywa przewagę w sporze z rozpaczą: ma rację i argumenty (z koronnym i nie do przebic argumentem ze Zmartwychwstania Chrystusa na czele). Więc możemy się cieszyć. Radością prawdziwie ludzką, która jednakże przestała być krucha i niepewna siebie.

Radość ta, która rodzi się w uczniach przy spotkaniu ze Zmartwychwstałym – „Uradowali się uczniowie, ujrawszy Pana” (J 20,20) – jest na kartach Radosnej Nowiny silnie wiązana z przyjściem Pocieszyciela. Radość okazuje się właściwym darem Ducha Świętego i rzeczywistym podarunkiem Odkupiciela. Obiecuje Pan swoim: „rozdaje się serce wasze, a radości waszej nikt wam nie zdoła odebrać” (J 16,22). W ten sposób akord, który pojawia się już w całej swej czystej mocy w pozdrowieniu anielskim („raduj się, pełna łaski”, Łk 1,28), przewija się przez całe ukryte i publiczne życie Jezusa i osiąga swoją paschalną „symfoniczną” kulminację Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Jezusa oraz Zesłania Ducha Świętego. Ważne: ewangeliczne pojęcie „pełna radość” („aby radość wasza była pełna”) okazuje się tożsame z Duchem Świętym. To ten sam dar zabitego i wskrzeszonego Chrystusa: Pocieszyciel = radość i trwałe do niej prawo wierzących.

\*

Niezwykle głęboki jest związek radości z każdą Mszą świętą. Sięga on ich wspólnego mianownika: śmierci. Jak to? Śmierć i radość. Dlaczego?

Eucharystia jest odpowiedzią na pytanie o śmierć – spotkaniem z miłością, która jest silniejsza od śmierci – a tylko gdy istnieje odpowiedź na śmierć, istnieje powód do radości. Jakżeby inaczej: w życiu to śmierć pozostaje wszak „kwestią ponad wszystkie kwestie” i tam,



gdzie rozciąga się jej królestwo, nie jest możliwa prawdziwa radość. Ludzie zawsze we wszystkich swoich najgłębszych tęsknotach pragnęli przezwyciężenia śmierci, poszukiwali życia, które byłoby większe niż śmierć. W Eucharystii obecność prawdy śmierci i zmartwychwstania Chrystusa właśnie to prawo do radości nam daje. Na ołtarzu dzieje się to, o czym marzy ludzka miłość: w akcie śmierci otwierają się drzwi do zmartwychwstania; tu miłość staje się wieczna, zyskując powód i prawo do niezmałonej radości.

Dlatego też określanie Eucharystii jako „uczty” czy też „wieczery” to zbyt mało. Jej tajemnica idzie dalej, sięga głębin śmierci - jest ofiarą, uobecnieniem ofiary Krzyża Jezusa Chrystusa. I tylko wtedy, przy takim jej rozumieniu, paradoksalnym jedynie na powierzchni, pozornie „smutnym” (ofiara) wobec „radosnego” (uczta/wieczera), możliwe jest promieniowanie z jej wnętrza radości prawdziwej, wielkanocnej: oto bowiem Ukrzyżowany Zmartwychwstał!!!

\*

Radość chrześcijańska ma swoich wrogów od dwóch tysięcy lat.

Chrystus i Jego Kościół są stale oskarżani o największy w dziejach ludzkości atak na radość życia. Ich streszczeniem jest teza Fryderyka Nietzschego: „Jakiż to największy grzech popełniono dotychczas na świecie? Czyż nie były nim słowa tego, który rzekł: «Biada tym, którzy się śmieją!»”. Nie tylko w tych zdaniach Nietzsche nie przebierał w słowach. Oskarżał chrześcijaństwo o „potworną zbrodnię przeciw życiu”, o lansowanie moralności resentymentów dobrej dla „przeciętnego cnotliwego zwierzęcia” (jak sam to określa), dla ludzi słabych, o obietnicę niebieskiego królestwa dla tych, którzy się staną jak dzieci... Tymczasem współczesny człowiek – zdaniem Nietzschego i jego licznych dziś wyznawców – chce królestwa ziemskiego na miarę mężczyzny, którym się stał. Píše: „W pojęciu święta mieści się duma, junactwo, swada; szyderstwo ze wszelkiego rodzaju powagi i poczciwości; boskie stany wewnętrzne, którym chrześcijanin absolutnie nie może przytaknąć. Święto jest poganizmem *par excellence*”. Oraz: „ideał ducha” (antychrześcijańskiego) polega na tym, że on „mimowolnie, z przelewającą się z niego pełni i potęgi bawi się tym wszystkim, co dotychczas było święte, dobre, nietykalne i boskie”.

No cóż... Przekraczamy tu bramę obozu koncentracyjnego, którego lagerführerzy tym właśnie się bawią, co do tej pory (poza obozem) było „święte, dobre, nietykalne i boskie”. Tym się radują, z tego się śmieją... Ale nad ich śmiechem, swawolnym i przytakującym sobie

potężnie głosem Bożej pomsty, z którego odważył się z „junacką dumą” szydzić Nietzsche, oskarżając go (Jezusa, czyli głosem/słowem Boga) o zbrodnię przeciw ludzkości: „Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie” (Łk 6,25b). Spełni się nieuchronnie to słowo Boga (jak każde); zdaje się, że dziś rozumiemy to coraz lepiej...

\*

Bo prawda radości i świętowania jest dokładnie odwrotna niż praktykowali to dozorczy obozów koncentracyjnych oraz ich otaczający w kręgach akademickiej humanistyki nabożną czcią antenat Fryderyk Nietzsche. Prawda o radości i święcie jest taka: dopiero kiedy Bóg daje prawo, aby się radować, dopiero gdy On sam zapewnia, że moje życie i cały świat są powodami do radości, można mówić o prawdziwym święcie. Święto nie jest poganizmem, ale wiarą *par excellence*.

I właśnie to jest winne chrześcijaństwo światu: istnieje radość pełna i prawdziwa, życie jest powodem do radości, bo istnieje Bóg i Jego dobra dla nas Nowina, Ewangelia. Tym bardziej Kościół winien jest ją światu, im bardziej źródła radości stały się w świecie zasypane i tym samym pozostają nieznanne, im rozpaczliwsze i agresywniejsze jest wołanie o radość życia Nietzschego, nietzscheanistów i skrzyk wtórujących im karłów. Kościół musi tu cierpliwie i pokornie wytrzymać kompleksy i zawiści – chore formy tęsknoty za dobrem – swoich przeciwników: prawdziwa radość jest dobrem pociągającym, a zarazem dziś rzadkim, stąd nieufność, stąd oskarżenie Chrystusa i Jego uczniów o jej brak bądź zafałszowanie.

Benedykt XVI: „Ciągłe rozbudzanie radowania się Bogiem, radowania się Bożym objawieniem, to priorytetowe zadanie Kościoła w trzecim tysiącleciu”. „Radość w Panu jest waszą ostoją” (Ne 8,10).

\*

Bo tam, gdzie jest Bóg, znika wszelkie zgorzknienie.

Dlatego chrześcijaństwo jest pierwszorzędnie radością, nie ciężarem.

Dlatego też chrześcijaństwu jest po drodze z humorem, dowcipem, wesołością. W tym sensie humor bywa „barometrem wiary”. Ratzinger: „Dobry humor chrześcijan, mający źródło w wyzwalającej pewności, że są kochani, powinien być właśnie dyskretnym sposobem promieniowania na co dzień ewangeliczną radością w pozbawionym humoru świecie techniki”.

To pewne: światła na obłoki na pewno nie porwą frustracji... A tam, gdzie nie ma radości, gdzie humor obumiera i znika, tam na pewno nie ma Pocieszyciela, Ducha Jezusa Chrystusa.

Ale na pewno porwie nas wyżej niż obłoki Ta, do której Bóg skierował, przez Posłańca, swoje pierwsze w Nowym Testamencie słowo. Brzmiało ono: „bądź pozdrowiona”, po grecku: *haire!*, dosłownie: raduj się!

I dlatego modlimy się do niej: Przyczyno naszej radości, bo dałaś nam Jezusa.

# SUMIENIE

Tadeusz Bartoś opublikował w 2007 r. w wydawnictwie W.A.B. książkę pt. *Wolność, równość, katolicyzm*. Strona jej poświęcona w folderze wydawniczym W.A.B. z 2007 r. zaczyna się opisem książki i jej kontekstu przez wydawcę:

„Kiedy w 2003 roku Tadeusz Bartoś publikował w «Gazecie Wyborczej» pierwszy tekst o sumieniu, nikt się nie spodziewał tak żywego oddźwięku. Niektórzy duchowni odczuli niepokój – wezwanie, by każdy trzymał się własnego sumienia bardziej niż opinii Kościoła, graniczyło z herezją. Po drugiej stronie znaleźli się ci, dla których ten artykuł okazał się źródłem ulgi w duchowych cierpieniach. Od kilku lat w publikacjach i wywiadach Bartoś prezentuje krytyczny stosunek do wielu zjawisk w Kościele i do nauczania Kościoła na przykład w odniesieniu do mniejszości seksualnych. Píše o roli sumienia i przepisów kościelnych w życiu chrześcijanina [...]”.

Potem następuje fragment wstępu książki, pióra Bartosia, m.in:

„teksty są świadectwem moich duchowych poszukiwań. Są one swoistym wołaniem o wiarę w człowieka”. Bartoś powołuje się tu na Tomasza z Akwinu, którego antropologia – jak pisze – pozwalała Akwinacii „oświadczyć, że człowiek ma być wierny zawsze osądowi własnego sumienia, nawet gdyby miało oznaczać to błąd i czynienie zła, nawet odejście od katolickiej wiary”.

I na końcu biogram Autora, który kończy się zdaniem:

„Opuścił Zakon Kaznodziejski 25 stycznia 2007 roku”.

\*

Joseph Ratzinger, tekst sprzed pół wieku:

„błędna jest powszechna informacja, iż każdy musi żyć zgodnie z własnymi przekonaniem i zostanie zbawiony ze względu na swą w ten sposób udowodnioną «sumiennosc». Jakże to?

Czy na przykład heroizm esesmana, okrutna skrupulatność jego wypaczonego sumienia, może być swoistym *votum ecclesiae*? Nigdy!

Ten dobitny przykład jasno pokazuje całą problematyczność tego twierdzenia i jego przesłanki. Utożsamiając bowiem głos sumienia z takimi lub innymi przekonaniem, które

rodzi dany status społeczny i polityczny, doprowadza ono do przeświadczenia, że człowiek zbawia się przez sumienne stosowanie się do owego systemu, w którym się znajduje albo do którego się w jakiś sposób przyłączył. Sumienie ulega degeneracji i staje się skrupulatnością, a dany system «drogą zbawienia». Brzmi to ludzko i szlachetnie, gdy w tym duchu mówi się, że chcąc się zbawić, muzułmanin musi być «dobrym muzułmaninem» (co to właściwie znaczy?), hindus dobrym hindusem i tak dalej. Czy jednak nie należałoby wtedy powiedzieć także, że kanibal musi być «dobrym kanibalem», a przekonany esesman esesmanem w pełnym tego słowa znaczeniu? Jest jasne: coś tu się nie zgadza”.

\*

To również Ratzinger, słowa z roku 1980:

„Sumienie – właściwie rozumiane – nie jest apoteozą nie podlegającego kwestionowaniu subiektywizmu; jest uświadomieniem sobie przez każdego człowieka, że w swoim bycie jest on zdany na Boga. Dlatego też sumienie jest, z jednej strony, istotnym organem wolności człowieka, ponieważ zawiera w sobie bezpośrednią więź człowieka z Bogiem i (...) zakreśla granice wszelkich autorytetów zewnętrznych. Jednocześnie jednak jest wyrazem specyficznej istoty wolności stworzonej, wyrazem tego, że ludzka egzystencja nie jest czymś dowolnym i że nie są wcale dowolne, nałożone na nią więzy. Tu, w głębi istoty człowieczej, wolność i więzy stają się tożsame. Zadaniem Kościoła jest ostatecznie nie co innego, jak służenie czujnemu odbieraniu woli Bożej przez sumienie; sprawianie, by sumienie słuchało, było czyste i wolne, i by człowiek wnikał w siebie, prowadzony przez Kościół do Boga. Tam, gdzie autorytet Kościoła spełnia swoje zadanie, a sumienie jest czyste, znika antynomia między wolnością a więzami”.

\*

Według katolickiej nauki istnieją dwie płaszczyzny sumienia, rozróżnialne, ale w dobrej praktyce nierozłączne.

Pierwszą jest najgłębsza, bytowa warstwa sumienia zwana z grecka anamnezą, czyli przypominaniem: sumienie u samego korzenia jest pamięcią swego Stwórcy, prawspomnieniem Boga, zdolnością rozpoznania Jego woli. Owszem: wielorako i dramatycznie bywa ta pamięć zaburzona, zaćmiona przez grzech, jego skutki i egzystencjalne powikłania, ale jednak jest trwała i fundamentalna: „treść Prawa wypisana jest w ich sercach, gdy zarazem ich sumienie staje jako świadek”, pisze św. Paweł (Rz 2,15).

Z powodu swojej ambiwalencji (istnieje, ale zaburzona) pamięć ta (anamneza) potrzebuje pomocy z zewnątrz. Istotna jest tu służba Kościoła wobec sumienia, która pomaga je otwierać na prawdę. Służba ta jest skorelowana z anamnezą i nie ma między nimi sprzeczności: Pan Kościoła jest Stwórcą człowieka - to ten sam Bóg! Kościół nie jest wszechwiedzący i stale się uczy, ale dzięki Duchowi Świętemu („Pocieszyciel przypomni wam wszystko”, J 14,26) posiada „nieomylność chrześcijańskiej pamięci” i „mocą swej sakramentalnej tożsamości dostrzega od wewnątrz różnicę między czymś, co jest rozkwitem przypomnienia, i czymś, co jest jego zniszczeniem bądź zafałszowaniem”.

Drugą z tych płaszczyzn jest funkcjonalna warstwa sumienia - „sumienie w akcji”. To akt sumienia złożony z kilku etapów: rozpoznania, poświadczenia i osądu, przechodzący w końcowej fazie w wybór, decyzję i czyn (bądź jego zaniechanie). Akt sumienia ściśle współpracuje z poznaniem, wolą, emocjami, nawykami – na dobre i złe. Konieczna jest tu więc uprzedniość anamnezy wobec aktu: otwartość na głos samego Boga, który jest głosem decydującym dla rozstrzygnięć sumienia.

\*

Nie jest winą człowieka, jeśli postępuje zgodnie ze swymi przekonaniem, nawet jeśli są one błędne. Mało tego: nie wolno postępować wbrew własnym przekonaniom (por. Rz 14, 23). Ale nie może to oznaczać kanonizacji subiektywności, a temat winy nie jest tym samym zakończony – wręcz przeciwnie: dopiero rozpoczęty.

Bo winą jest tu to, że człowiek doszedł do wypaczonych przekonań, które skutkują obiektywnym złem. Winą jest skuteczne zagłuszenie głosu Boga. Wina leży nie w terażniejszym i błędnym osądzie sumienia, ale głębiej: w zachwaszczeniu życia i rozumienia, które przytępiło słuch na głos Prawdy rozbrzmiewającej w ludzkim wnętrzu.

Zaiste: zbrodniarze z przekonania pozostają winni. To istota sprawy. Proces w Norymberdze jest znakiem przekonania cywilizacji wywiedzionej z chrześcijaństwa, przekonania, że zniszczenie anamnezy nie uniewinnia sumienia. Dokładnie o tym są Pawłowe tezy na temat sumienia: o ludziach, którzy „umysłem pogrążeni w mroku, obcy dla życia Bożego, na skutek tkwiącej w nich niewiedzy, na skutek zatwardziałości serca. Oni to doprowadziwszy siebie do nieczułości [sumienia], oddali się...” – tu Paweł wymienia ich konkretne grzechy (Ef 4,18-19). Oraz: „Sumienie nie wyrzuca mi wprawdzie niczego, ale to

mnie jeszcze nie usprawiedliwia. Pan jest moim sędzią” (1 Kor 4,4). Człowiekowi pozostaje droga pokornej prośby: „Uwolnij mnie od moich nierozpoznanych win” (Psalm 19).

\*

Oto istota bitwy, w której prawda zмага się ze złośliwym duchem przewrotnego kłamstwa, który przybrał postać (chwilowo, bo przebrania zmienia ów duch złośliwy i kłamliwy co epokę) liberalno-lewicowego ducha czasu. To tu Jan Paweł II i Benedykt XVI stali się wyjątkowo niewygodnymi przeciwnikami dla sytej i zadowolonej z siebie (nikt przecież nigdy nie stworzył lepszego ustroju od nas, wyzwolonych i oświeconych) armii cywilizacji śmierci i jej giernków. To Benedykt XVI miał odwagę mówić, patrząc w oczy zachłyśniętym sobą, swoim wykształceniem, stopą życiową i spokojem zatrutego sumienia: „Nie widzieć prawdy jest winą. Człowiek nie widzi prawdy, gdy jej nie chce i ponieważ jej nie chce”.

Kiedy kontrolka sumienia nie zaświeci na pewno? Kiedy ją odciąć od zasilania. Dodam, pisząc te słowa na Śląsku: zepsuty albo i skłamany, sztucznie podrasowany (dla zysku, bez liczenia się z człowiekiem) metanomierz informuje, że powietrze w chodniku jest czyste.

Zdrowe sumienie - nie zatrute i nie podtruwane - jest oknem, które otwiera przed człowiekiem widok na wspólną prawdę jako podstawę i oparcie wszystkich i każdego. Sumienie skażone okazuje się niczym innym jak peleryną subiektywizmu. Tym właśnie jest „liberalne” pojęcie sumienia. Ocaleniem nie jest tu droga ku prawdzie (ta przecież albo nie istnieje, co wyraził nasz patron, Piłat, albo stawia „niehumanitarne” wymagania), ale subiektywizm, który nie pozwala się kwestionować (bo zostaje utożsamiony z sumieniem) i – ostatecznie – konformizm społeczny (jako „demokratyczne” wypośrodkowanie konformizmów). Właśnie to jest moment, kiedy po cichu zostają usprawiedliwieni najbardziej odrażający zbrodniarze (co nie jest rzadkie w [anty]kulturze liberalnej). Poza tym: człowiek zostaje tu zredukowany do swych powierzchownych przekonań, a im mniej ma w sobie głębi, tym lepiej – konformizm społeczny między powierzchownymi jest znacznie łatwiejszy do osiągnięcia („przecież wszyscy ludzie na poziomie tak myślą”); ci dla świętego spokoju przymkną oko na pytanie o prawdę – wystarczy im kompromis (choćby i zgniły, byle „nie podpalić” Polski i świata) i wystarczą procedury zamiast Dekalogu.

Błądzące sumienie (zaduwanie moralne) jest wygodne tylko w pierwszej chwili. Potem jest już tylko gorzej, aż do zniewolenia i zagłady.

\*

Sumienie jest organem – nie wyrocznią – i jako takie wymaga wzrostu, kształcenia i ćwiczeń. Jest w tym podobne do języka, którym mówimy „od siebie”, ale którego nauczyliśmy się od innych i który jest kształtowany „z zewnątrz”. Tak i tu: sumienie wymaga formowania i wychowania, a Urząd Nauczycielski Kościoła ponosi odpowiedzialność za prawidłowe jego kształtowanie.

Ale dlaczego ta teza budzi aż taką furię jej przeciwników? Skąd to?

Ratzinger: „Wygodnictwo? Mój upór? Albo jest to może rodzaj zewnętrznej dominacji przez jakąś ‘drogę życia’, która pozwala mi na to, czego Urząd Nauczycielski mi zabrania i która wydaje mi się bardziej uzasadniona i pasująca tylko dlatego, że ma ona za sobą aprobatę społeczeństwa?”

Pytanie jest godne rachunku – *nomen omen* – sumienia.



# WOLNOŚĆ

**Czym jest wolność? Jak należy ją rozumieć? I jakie idee, jakie teorie kryją się za takim a nie innym jej rozumieniem (a potem i realizacją bądź przynajmniej próbami urzeczywistnienia)? Jaka wizja rzeczywistości, jaka filozofia, antropologia, teologia znajdują się „pod spodem”? I pytanie najważniejsze: czym i jaka jest wolność w blasku Odwiecznego Słowa Boga, *in splendore veritatis*?**

## 1. Decyzje, struktury

Wolność jest dla chrześcijaństwa rzeczywistością podstawową, konstytutywną. Jest środowiskiem jego życia – wodą, w której chrześcijańska wiara płynie do celu, powietrzem, którym oddycha. Ale też wolność – przy całej jej wielkości i nieodzowności – zawiera (ze swej istoty) owo ryzyko, które składa się na niejednoznaczność i ambiwalencję jej obrazu, skutków... Jest ona krucha, podatna na zranienia. Lecz bez niej nie byłibyśmy ludźmi, dziećmi Bożymi.

Wspaniały hymn ku czci wolności, zawierający tak opis jej wielkości, jak i opis jej wewnętrznych komplikacji, jej żarliwą obronę, argumenty za jej koniecznością dla tego, co ludzkie, zawierają centralne partie encykliki *Spe salvi*. Jest to hymn ku czci wolności jako jedynego gwaranta ludzkiej nadziei a przeciwko jej politycznym instrumentalizacjom w imię postępu (zwłaszcza totalitarnym podporządkowaniom strukturom mającym służyć tzw. „przyszłości ludzkości”, co kończy się zawsze mordowaniem ludzi). Oto wielka chrześcijańska lekcja na temat wolności, lekcja Logosu:

„[...] wolność człowieka jest wciąż nowa i wciąż na nowo musi decydować. Nie są one [decyzje – J. Sz.] nigdy po prostu podejmowane za nas przez innych – w takim bowiem przypadku nie byłibyśmy już wolni. Wolność zakłada, że przy podejmowaniu fundamentalnych decyzji każdy człowiek, każde pokolenie jest nowym początkiem. Oczywiście, nowe pokolenia muszą budować na wiedzy i doświadczeniu tych, które je poprzedzały, jak też mogą czerpać ze skarbcza moralnego całej ludzkości. Ale mogą to też odrzucić, ponieważ nie musi to być tak samo ewidentne dla nich, jak odkrycia materialne. Skarbiec moralny ludzkości nie jest obecny w taki sposób, w jaki obecne są narzędzia, których się używa;

istnieje on jako zaproszenie do wolności i jako jej możliwość. To jednak oznacza, że:

- a) Właściwy stan rzeczy ludzkich i zdrowie moralne świata nie mogą być nigdy zagwarantowane jedynie przez struktury, jakkolwiek są one wartościowe. Struktury takie nie tylko są ważne, ale także konieczne; nie mogą one jednak i nie powinny pozbawiać człowieka wolności. Nawet najlepsze struktury funkcjonują dobrze tylko wtedy, gdy w społeczności są żywe przekonania, które są w stanie skłaniać ludzi do wolnego przyjęcia ładu wspólnotowego. Wolność potrzebuje przekonania; przekonanie nie istnieje samo z siebie, ale wciąż musi być wspólnotowo zdobywane.
- b) Ponieważ człowiek zawsze pozostaje wolny, a jego wolność jest zawsze krucha, nigdy na tym świecie nie zaistnieje definitywnie ugruntowane królestwo dobra. Kto obiecuje lepszy świat, który miałby nieodwołalnie istnieć na zawsze, daje obietnicę fałszywą; pomija ludzką wolność. Wolność musi wciąż być zdobywana dla dobra. Wolne przyłgnięcie do dobra nigdy nie istnieje po prostu samo z siebie. Jeśli istniałyby struktury, które nieodwołalnie ustanowiłyby jakiś określony – dobry – stan świata, zostałaby zanegowana wolność człowieka, a z tego powodu ostatecznie struktury takie nie byłyby wcale dobre.

[...] ludzka rzeczywistość zależy w każdym pokoleniu na nowo od wolnej decyzji ludzi, którzy do niego należą. Gdyby ta wolność na skutek uwarunkowań lub struktur została im odebrana, świat ostatecznie nie byłby dobry, gdyż świat bez wolności w żadnym przypadku nie jest światem dobrym”<sup>13</sup>.

Uważna lektura tego fragmentu pokazuje w czym tkwi siła wiedzy chrześcijańskiej i dlaczego Kościół Chrystusowy jest największym w dziejach świata prawdziwym obrońcą prawdziwej wolności. Nawet jeśli wierzący w Chrystusa, współtworzący Kościół są słabi, grzeszni i też nie udało się im zbudować dobrego świata... Prowolnościowa moc chrześcijaństwa tkwi w prawdzie o człowieku i świecie, w czystości intencji, w pozbawionym naiwności realizmie w postrzeganiu i rozumieniu ludzkiej natury. A to wszystko ma jeszcze głębsze źródło: Logos, od-Boska rozumność, do której wiara przylega i którą się karmi. Dzięki temu (Niemu, bo chodzi o Jezusa Chrystusa, On jest Logosem) chrześcijaństwo wie, że Królestwo Jego „nie jest z tego świata” (J 18,36), że należy się wyrzec „oczekiwania na jakieś wewnątrzhistoryczne zbawienie”, że wolność człowieka w doczesnym porządku rzeczy jest wciąż otwarta i na „tak” i na „nie”, że wielki dramat historii świata nie jest kukielkowym teatrykiem, a wolność jest prawdą do samego rdzenia człowieczeństwa i stworzonej rzeczywistości. Projekt świata jest faktycznie „niedokończony”, godność etyczna człowieka – prawdziwa, a zarówno konstrukcja, jak i destrukcja – zawsze możliwe. Prawda wyzwala, wolność jest prawdziwa.

---

<sup>13</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi* (30.11.2007), nr 24, 30.

I wiara chrześcijańska wie, że w tym właśnie (a nie poza tym czy obok tego) Chrystus jest Panem historii i Zbawcą naszej wolności.

## 2. Bunt, emancypacja

W połowie lat 80. ubiegłego wieku ukazały się dwa dokumenty Kongregacji Nauki Wiary na temat wolności i wyzwolenia, oba sygnowane przez jej Prefekta Josepha Ratzingera. Pierwszy z nich to *Instrukcja o niektórych aspektach «teologii wyzwolenia»* pt. *Libertatis nuntius* z 6 sierpnia 1984 roku. Drugi to *Instrukcja o chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu* pt. *Libertatis conscientia* z 22 marca 1986 roku. Obie instrukcje, szeroko i burzliwie dyskutowane w teologii i publicystyce po dziś dzień, stanowią kompendium poglądów Papieża emeryta na temat wolności i wyzwolenia w kontekście fenomenu tzw. teologii wyzwolenia. Ale są one przede wszystkim swoistym centrum, wokół którego powstały inne, liczne teksty Ratzingera poruszające problematykę wolności (np. *Wolność i wyzwolenie; Eschatologia a utopia; Wolność i więzy w Kościele*). To w nich znajdują się dwie zasadnicze odpowiedzi na pytanie o istotę wolności oraz ich szczegółowy opis i analiza. Wyłaniają się z nich dwie koncepcje wolności. Pierwszą z nich określa Ratzinger jako „pojęcie «wolności» w nowożytnych dziejach ducha”, drugą jako „nowożytne pojęcie «wolności» w życiu Kościoła”<sup>14</sup>. Z pewnym uproszczeniem, choć co do istoty zasadnie, można pierwszą nazwać „oświeceniowo-liberalną”, drugą – „biblijno-teologiczną”.

Koncepcję pierwszą, zgodnie z nazwą, wywodzi Ratzinger z ducha i litery Oświecenia, z jego *sapere aude* („odważ się używać rozumu”), specyficznego postawienia na rozum (odcinający się od sfery religijnej wiary) i na samostanowienie. Mija oto dwieście, a może i trzysta lat (zależy jak datować Oświecenie, spory historyków trwają) i przedłużenie – ponad romantyzmem, przebudzeniem narodowym XIX i XX wieku, krwawymi wirami totalitaryzmów i światowych wojen – znajdzie oświeceniowa koncepcja wolności w demokracji liberalnej, gdzie wola większości będzie decydowała o wszystkim, określając, co jest rozumne, co jest etyczne, stanowiąc prawo, czyli decydując arbitralnie o zawartości pojęcia „prawda” oraz – to interesuje nas w tym momencie najbardziej – o kształcie, rozumieniu i zakresie wolności. W ciągu ostatnich prawie 30. lat w „Gazecie Wyborczej”, bez wątplenia polskiej ambonie medialnej oświeceniowo-liberalnej koncepcji wolności, można było co najmniej kilkanaście razy (jeśli nie znacznie więcej) wyczytać hasło Woltera, że „nie

---

<sup>14</sup> J. Ratzinger, *Kościół – Ekumenizm – Polityka*, red. i tł. L. Balter i in., Poznań–Warszawa 1990, s. 225, 231. Wszystkie najbliższe tezy, odwołania i cytaty z tej książki, która jest zbiorem artykułów J. Ratzingera.

ma wolności dla wrogów wolności” (w tym kształcie, w jakim ją „nasze środowisko” rozumie). Jest się czego bać, bo Europa jest miejscem, gdzie tego typu pozornie teoretyczne tezy znajdowały (i znajdują) swoje dotkliwie praktyczne przełożenie. Nie mówiąc o wersji łagodniejszej, czyli o pozbawieniu wolności myślenia: wykluczeniu naukowemu, ostracyzmie środowiskowym itp.

W każdym razie po drodze do sytuacji wolności pierwszych dekad XXI wieku, do oświeceniowego Kanta dołączył idealista Hegel. Jego zdaniem, wolności służy ten, kto staje po stronie logiki historii. Marks rozwinął to rozumienie wolności (nieuchronna konieczność historyczna jest wolnością; historia wolności jest historią partii – partii bolszewickiej, w najbardziej krwawej wersji, leninowskiej). Ci, którzy stanowią przeszkodę dla postępu wolności (religianci, burżuazja, kułacy etc.) muszą być usunięci. Ten konglomerat wzbogacił Sartre: człowieka, pozbawionego istoty, czystą egzystencję, trzeba dopiero wynaleźć, stworzyć. Na to z kolei nakłada się neomarksizm (aktualny król na kampusach uniwersytetów euroamerykańskich, zwłaszcza w przestrzeni sporów o idee wolności i jej treściową zawartość) oraz postmodernizm w wielości odmian swojej „słabej myśli”, która nie pretenduje do definiowania czegokolwiek (a już zwłaszcza pozytywnych treści pojęcia wolności), zadowolając się pełzającym demontażem wszelkich idei, zwłaszcza teologicznych. Przy czym pełzanie ma jasno określony kierunek: w stronę nicości.

Rozgardiasz źródłowy i ideowy jest tu spory:

„Idee ewolucyjne, wpływy heglowskie, spuścizna myśli marksistowskiej, refleksje nauk humanistycznych – wszystko to miesza się ze sobą w jedną, trudną do określenia czy sprecyzowania całość pojęciową. I tutaj właśnie otwiera się fascynująca obietnica: człowiek jest w stanie być inżynierem własnej historii. Nie musi już stawiać na niepewną zawsze i kruchą swoją dobrą wolę czy pokładać nadzieję w swych moralnych decyzjach. Patrzy obecnie na samą tkaninę procesu wolności i jest w stanie tworzyć warunki, w których wola jest sama z siebie dobra – podobnie jak dotąd żyjemy w warunkach, w których wola jest sama z siebie zła. Etyczne troski i starania mogą się stać zbędne, kiedy się samemu kieruje historią”.

Ale skutek tego demiurgicznego miszmaszu jest tragiczny:

„[...] zaakceptowanie antropologii, która wydaje się konsekwentnym dopełnieniem Oświecenia: wychowywanie człowieka do konkretnych postaw opartych na wartościach wydaje się zniewoleniem jego istoty, ba, nawet samo wychowywanie to gwałt zadawany przez autorytet i tradycje. Tylko jedna pedagogika wydaje się słuszna jako prawdziwa pedagogika wolności: wychowanie do buntu przeciwko wszelkim istniejącym wartościom, nieograniczone wyzwolenie człowieka, który dopiero sam «twórczo» się określa. Nie jest ustalone, czym człowiek jest i jaki powinien być.

[...] ideę wolności doprowadza się tu do skrajnego radykalizmu; pojmuję się ją już nie tylko jako emancypację od tradycji i autorytetu, ale jako emancypację od idei stworzenia, która przybrała postać człowieka, emancypację od własnej istoty, całkowity indeterminizm, otwarty na wszystko. Ale właśnie taka wolność staje się zarazem piekłem; być wolnym to być potępionym”.

Czego oczekuje zwolennik oświeceniowo-liberalnej koncepcji wolności? Prawdopodobnie mniej więcej tego, co Karol Marks „podał jako pełną wizję wolności”, skutek wyzwolenia, rewolucji i nowej świadomości społecznej: „...rano polowanie, po południu wędkarstwo... po jedzeniu krytyka, jak mi się żywnie podoba...” Żeby to było aż tak banalne u czołowego ideologa wolności? Przełać ocean burżuazyjnej i proletariackiej krwi po to, by móc iść na ryby? Wolność jako możliwość czynienia wszystkiego, czego się tylko zapragnie, ale i tylko tego, czego się samemu pragnie? Czyżby idee sięgnęły bruku i istotą wolności oświeceniowo-liberalnej w Europie jest „mieć wakacje” i że „wolność ma zapach benzyny”?

### 3. Synostwo, partycypacja

Koncepcja druga, biblijno-teologiczna, opiera się na przekonaniu, iż to wiara chrześcijańska jest prawdziwym wyzwoleniem człowieka. Biblijna *eleutheria* (wolność) abstrahuje od tzw. wolności wyboru (bo jest ona skutkiem, a nie istotą wolności), jest zaś przeciwieństwem bytu niewolniczego przez to, że odnosi się do przynależności, do poczucia „bycia u siebie”, do współodpowiedzialności i zadomowienia: „wolny jest ten, kto jest u siebie, w swoim domu”. Wolny jest ten, kto urodził się z Sary, a nie z Hagar; będzie miał prawo dziedziczenia (por. Ga 4,21–31). A więc różnica między wolnością a niewolą polega tu przede wszystkim na statusie, na rodzaju przynależności, który określa prawo dziedziczenia, prawo pobytu i posiadania. Być wolnym oznacza: być dziedzicem, tzn. samemu być posiadaczem; wolność jest tożsama z synostwem (Ga 4,5). Dziedzicem jest Syn. A z Nim wszyscy Jego bracia, siostry.

Oto istota sprawy: być wolnym znaczy uczestniczyć w statusie bytu Jezusa Chrystusa, w statusie Syna – z całą odpowiedzialnością dziedzica i godnością dziecka Bożego. Biblijno-teologiczna koncepcja wolności byłaby więc taka:

„[...] wolność jest czymś innym niż indeterminizm. Jest partycypacją, i to nie partycypacją w jakiejś określonej strukturze socjalnej, lecz uczestnictwem w samym bycie. Oznacza to, że jest się posiadaczem swego bytu, a nie jego poddanym. Tylko na tej podstawie można przecież określić Boga jako Upostaciowioną Wolność, ponieważ On posiada swój byt totalnie.”

I jeszcze:

„Powołaniem człowieka jest być obrazem Boga, stawać się takim, jak On. Człowiek nie został zamknięty niepokonalnie w swojej skończoności. Nie jest jeszcze wolny ten, kto może tylko wybierać pomiędzy upodobaniami. Wolny jest dopiero wówczas, gdy miarę własnego działania czerpie wyłącznie z wnętrza i nie musi już ulegać żadnym zewnętrznym naciskom. A dlatego jest wolny, że stał się czymś jednym ze swą istotą, jednym z samą prawdą. Albowiem ten, kto jest jednym z prawdą, nie działa już według zewnętrznych wymogów i konieczności; w nim istota, pragnienie i czyn stały się czymś jednym. W ten sposób człowiek jest w stanie dosięgać w skończoności tego, co nieskończone, zespałać się z nim i – uznając granice – sam być nieskończonym. Chrześcijańska doktryna wolności nie jest więc jakimś małostkowym moralizatorstwem. Towarzyszy jej wszechogarniająca wizja człowieka”.

To fundamentalna zmiana punktu ciężkości w odpowiedzi na pytanie o istotę wolności, podkreślmy to raz jeszcze z całą mocą: biblijno-teologiczna koncepcja wolności różni się od oświeceniowo-liberalnej radykalnie, ponieważ istotę tego, czym jest, upatruje nie w (etycznej) wolności wyboru, ale w (ontycznej) wolności samego bytu (człowieka). Wolność mogę wyrazić tylko wówczas, gdy jestem wolny; samo jej wyrażanie, przy statusie niewolnika, jest udawaniem, samooszukiwaniem, tragifarsą, pustym gestem, drogą donikąd – jak kto woli.

#### **4. Wyzwolenie, prawda**

Różnice między tymi dwoma ujęciami wolności mają daleko idące przełożenie praktyczne. Szczególnie warto podkreślić wyraźnie jedną z konsekwencji koncepcji oświeceniowo-liberalnej, a mianowicie anarchię i jej skutki – kwestię wielokrotnie i dobitnie artykułowaną w pismach J. Ratzingera/Benedykta XVI. Anarchię (pojęcie pochodzące z greki i oznaczające dosłownie brak władzy, jej zaprzeczenie) rozumie on jako niczym nieograniczoną samowolę jednostki, która w skrajnej formie odrzuca wszelkie więzi – religijne, moralne, społeczne, rodzinne – pojmując je jako więzy krępujące wolność. Oto tam, gdzie „odrywa się” człowieka do Boga (w jakikolwiek sposób: ontyczny, intelektualny, moralny, symboliczny etc.), gdzie człowiek jest „(po)myślany” bez Boga, gdzie antropologia odcina się od teologii – tam też tym samym zostaje zanegowany związek ludzkiej wolności z prawdą i jej wymogami. Na tym gruncie powstają „«podróbki» wolności” a prym wiedzie anarchiczna pseudowolność. Możliwości dążenia do każdej wizji dobra, jaka do nas przemawia, są już niczym nieskrępowane, a słuszność wybrania którejś z dróg – nieweryfikowalna (prawda nie istnieje albo jest niedosiężna). Jeśli odwołać się tu do nośnych

hasła, wówczas w najnowszej polszczyźnie brzmiałoby to „grunt to bunt” albo, jeszcze wyraziściej, w postaci zdyskredytowanej formuły „róbta, co chceta”.

Rzecz jasna, krytyka anarchistycznych podróbek wolności w żadnym wypadku nie jest podważaniem wolności indywidualnej, osobowej i osobistej każdego człowieka. Choć rzecz trzeba zniuansować. Oto według liberalizmu, jedyną absolutnie konieczną i bezdyskusyjną wartością, będącą narzędziem weryfikacji innych praw, jest prawo do wolności indywidualnej, które należy wcielać w życie bez jakichkolwiek nakazów, o ile nie narusza prawa bliźniego. Zasada ta, słuszna w swym rdzeniu i posiadająca mocny korzeń chrześcijański, niebezpieczna jest w dążeniu do własnej absolutyzacji. Bowiem wolność indywidualna nie jest możliwa (dosłownie, w swej istocie i skutkach) w izolacji od Boga i (czyli) prawdy. Przerodzi się wówczas, w tym oderwaniu, prędzej czy później (raczej prędzej) w dyktaturę *ego* i środek budowania tyranii; w pustostowie, i to tragiczne. Będzie to tyrania antyrodzinna (rodzina zostanie obwołana jako środowisko zniewolenia i opresji), antywychowawcza (wychowanie jest manipulacją; dziecku należy dać jedynie „czyste” informacje, żeby mogło decydować w sposób wolny), wszelka inna.

Miejsce po Bogu nie zostanie puste. Zajmie je egotyk, wolny od więzi/więzów, który zachce „być jak Bóg”. I będzie to fałszywa (bo odcięta od prawdy) wizja przebóstwienia; próba zajęcia tronu nieprawdziwego boga, bożka jedynie – monstrualnego samoluba podporządkowującego sobie świat, dokładnego zaprzeczenia Boga-Miłości.

„Wszystko mi wolno” (1 Kor 6,12) – powtarzano w Koryncie. „Ale nie wszystko przynosi korzyść” i „niczemu nie oddam się w niewolę” – replikował św. Paweł (1 Kor 6,12). Wolność chrześcijańska nie jest bowiem anarchią ani libertynizmem. Nie jest ona wyzwoleniem z etyki, ani tym bardziej dyspensą z czynienia dobra. Wolność ma głęboką treść i miarę, uczył św. Paweł tych samych koryntian w drugim liście: „Pan zaś – to Duch, a gdzie Duch Pański – tam wolność” (2 Kor 3,17). „Litera zabija, Duch zaś ożywia” (2 Kor 3,6). Ale Duch nie jest anarchiczną ideą, „nieograniczonym” usprawiedliwieniem samowolnych interpretacji, wizji i czynów niepodlegających żadnym normom. *Pneuma* (Duch, wiatr) „wieje tam, gdzie chce” (J 3,8a), ale właśnie tam, gdzie On chce a nie my; i zawłaszczyć Go nie sposób. Paweł dokonuje odkrycia: Duch to Chrystus, a Chrystus jest Panem wskazującym nam drogę. I tam wolność.

Właśnie to chrześcijańskie odkrycie istoty wolności, jej treści i miary, jest istotą posłannictwa Kościoła i jego wyzwalającej, wolnościowej wizji. Prawdziwa wolność

człowieka ma źródło w stworzeniu go na obraz i podobieństwo Boga, w Wydarzeniu Chrystusa, w darze Ducha Świętego. To właśnie Kościół przypomina, głosi, do tego wychowuje – do wolności odniesionej do prawdy.

## 5. Modlitwa jako laboratorium wolności

Pragnienie upodobnienia się do Boga (być – wolnym – „jak Bóg”) to myśl, wokół której „od zawsze” krążą wszystkie dążenia do wyzwolenia człowieka<sup>15</sup>. Ponieważ pragnienie wolności należy do istoty człowieczeństwa, ludzie szukają drogi prowadzącej do bycia wolnym „jak Bóg”: tego pragnienia nie zaspokoi skończoność. Sporo obserwacji (i poczynionych wyżej uwag) na temat współczesnych kształtów wolności anarchicznej i libertyńskiej jest pragnienia nieskończoności potwierdzeniem – zewsząd dochodzi natrętne wołanie o wolność totalną, demiurgiczną, „boską”. Jak osiągnąć ten cel, stać się wolnym „jak Bóg”, dostąpić przebóstwienia?<sup>16</sup>

Chrystus przynosi odpowiedź. W wyzwalającym geniuszu modlitwy Syna z Getsemani: „nie to, co ja chcę, ale to, co Ty [niech się stanie]” (Mk 14,36).

„Logos uniża się, ażeby przyjąć za swoją wolę człowieka i zwraca się do Ojca w swoim ludzkim *ja*, przenosząc niejako swoje *Ja* na tego człowieka; tym samym przekształca słowo człowieka w Słowo przedwieczne, w swoje niebieskie: «Tak, Ojczy». Dając temu człowiekowi swoje *Ja*, swoją własną tożsamość, przez samo to wyzwala człowieka, zbawia go, przebóstwia. Tutaj możemy niejako palcem dotknąć tego, co w istocie oznacza zdanie «Bóg stał się człowiekiem»: Bóg przemienia śmiertelną trwogę człowieka w posłuszeństwo Syna, przeobraża słowa *slugi* w słowa *Syna*. W ten sposób zrozumiały staje się również sposób naszego wyzwolenia, naszego udziału w wolności Syna”<sup>17</sup>.

Każda modlitwa, która włącza się w tę modlitwę Jezusa Chrystusa, staje się *laboratorium* wolności – tu: w Panu naszym, w jego Dziele, w jego modlitwie dokonuje się przemiana niewoli w wolność; człowiek staje się wolny jak Bóg.

---

<sup>15</sup> J. Ratzinger, *Chrystus i Jego Kościół*, tł. W. Szymona, Kraków 2005<sup>2</sup>, s. 40.

<sup>16</sup> Tamże, s. 41.

<sup>17</sup> Tamże



# MARYJA

Dlaczego w ostatnich dwustu latach (mniej więcej) mieliśmy tak wiele maryjnych objawień? I to, oczywiście, biorąc pod uwagę tylko i wyłącznie te, które zostały uznane oficjalnie przez Kościół – było ich naprawdę sporo. I prawie zawsze odbywały się w tym samym stylu: w jakimś zapadłym zakątku świata, wobec „nieważnych” ludzi (dzieci, chorzy, grzesznicy, analfabeci) i zawsze z podobnym przesłaniem (pokuta, nawrócenie, modlitwa).

Dlaczego? Skąd to natężenie?

Próbując to wyjaśnić, w 2010 roku, w Fatimie, Benedykt XVI mówił, że kiedy w 1917 roku „otwarło się niebo nad Portugalią”, było to „jak okno nadziei”, które Bóg otwiera, „gdy człowiek zamyka przed Nim drzwi”. Oto więc Maryja i Jej objawienia są otwartym oknem łaski, miłosierną reakcją Boga na zaryglowane przed Nim drzwi świata, zatrzaskiwane przez ateistyczny racjonalizm i krwawe dyktatury. W naszej epoce rozwój wiary wiąże się (między innymi) właśnie z tym: z coraz mocniejszym wkraczaniem w świat Matki Bożej jako drogowskazem. Ona – od wieków czczona jako „Przewodniczka chrześcijan”, „Przewodniczka w drodze” (*Hodegetria* – na Wschodzie) jest światłem od Boga, w blasku którego widać drogę poprzez nasze czasy, także poprzez nam współczesne mroki bezbożności. Trójca Przenajświętsza nam ją daje, by nas prowadziła z troską i pokorą Matki, która się ukazuje swoim małym dzieciom (czyli nam, bezradnym) i mówi im to, co istotne: wiara, nadzieja, miłość są ważne, pokuta; to róbcie. I byśmy tym samym odzyskali wzrok umożliwiający dojrzenie Boga w naszym świecie z jego wszystkimi ograniczeniami i całym jego zamknięciem na Boga.

\*

Właśnie Ją, miłość do Niej, prawdę o Niej; trwanie przy Niej, pod Jej płaszczem, jesteśmy jako katolicy winni naszemu współczesnemu światu. Miłość do Matki Bożej jest wielką siłą katolicyzmu. To olbrzymi dar i wielkie zadanie katolicyzmu – miłość do Maryi; pielęgnować ją, nią żyć i zarażać nią świat, leczyć nią jego rany.

Zaiste: Ona jest oknem nadziei, które otwiera Bóg, gdy człowiek zamyka przed Nim drzwi. I naszym, katolickim zadaniem jest by było ono stale otwarte.

\*

Dlaczego Maryja i nauka o niej, pobożność maryjna, jej poświęcone sanktuaria, różnice i majowe nabożeństwa są tak ważne? Za Benedyktem XVI, jasno, w punktach:

1. Bo wszystkie cztery dogmatyczne prawdy maryjne (o Dziewictwie, o Bożym Macierzyństwie, o Niepokalanym Poczęciu i o Wniebowzięciu) chronią autentyczną wiarę w Chrystusa jako prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka. Strzegą też właściwego kierunku życia (ku niebu) i zagrożoną dziś wiarę w Boga Stworzyciela mającego suwerenną władzę nad materią.
2. Bo maryjność Kościoła utrwała nierozwalny związek między Biblią i Tradycją. Cztery dogmaty maryjne mają zakorzenienie w Biblii. Tkwią w niej jak ziarno, które wzrasta i daje owoc w życiu Tradycji.
3. Bo Ona, hebrajska dziewczyna, matka Mesjasza łączy w jedno, żywotnie i niepodzielnie, starożytny i nowożytny Lud Boży, Izrael i chrześcijaństwo, Synagogę i Kościół. W Niej dokonuje się synteza obu Testamentów.
4. Bo pobożność maryjna gwarantuje wierze harmonijne współistnienie w Niej rozumu i serca. Maryja chroni Kościół przed niedoszacowaniem któregoś z nich bądź przed któregoś przerysowaniem (dominacja uczuć nad logiką rozumu lub odwrotnie, pycha i ciasnota rozumu niezdolnego do symbiozy z czymkolwiek poza sobą). Maryja chroni Kościół, w którym człowiek jest (ma być) zawsze jednością obu tych wymiarów.
5. Bo Maryja jest jednocześnie „obrazem” i „wzorem” Kościoła. Ona chroni go (a właściwie „ją”, pamiętając, że „Kościół” jest w grece, łacinie i wielu językach nowożytnych rodzaju żeńskiego) przed maskulinizacją (!) i jakąkolwiek instrumentalizacją (przekształceniem w partię, stowarzyszenie, grupę nacisku czy interesu wyłącznie doczesnego; w abstrakcję – ta nie potrzebuje Matki).
6. Bo Maryja rozjaśnia zadania wyznaczone przez Stwórcę każdej kobiecie, broni jej równości i godności wobec mężczyzny. Jej Dziewictwo i Macierzyństwo nadają tajemnicy kobiety najwyższe znaczenie. Jest ona kwintesencją biblijnej kobiecości; wcieleniem odwagi i posłuszeństwa, kontemplacji i czynu.

Najkrócej, streszczając tych sześć punktów: Maryja chroni pełnię wiary, całość i Biblii, istotę Kościoła, prawdziwe dobro człowieka jako mężczyzny i kobiety. Dlatego o Niej nigdy zbyt wiele, także dlatego Jej i jakiegokolwiek nieprawdzie (kłamstwu o Bogu i człowieku, herezji, sekciarstwu itp.) tak zdecydowanie nie po drodze, że aż w nieprzyjaźń i zmiążdżenie głowy ducha kłamstwa (por. Rdz 3,15). W pogrom...

\*

W ten sposób ujawnia się maryjna, wewnętrzna strona Kościoła (bo istnieje też Piotrowa, równie konieczna). Co nie jest tym samym, co „strona kobieca”, ale blisko. Bo już z samej kobiecości promieniuje w kierunku mężczyzny, za pośrednictwem tajemniczej i nieprzeniknionej komunikacji, coś z blasku zbawienia i szczęścia, cierpienia i wstawiennictwa Matki Bożej. Dla jasności: nie każda kobieta jest Maryją (to jasne), ale Maryja jest kobietą i jej świętość oraz nieporównywalna z żadną inną rolą w historii zbawienia mają formę i geniusz kobiece.

Tak że maryjność-kobiecość dzieje się w przestrzeni tajemnic wiary ze szczególną, właściwą tylko sobie inteligencją i wrażliwością, absolutnie konieczną dla integralności Kościoła i dróg zbawienia. Genialnie wyraził płynącą z tego faktu syntezę i swoistą zbawczą równowagę święty Augustyn: „Nie traćcie nadziei, mężczyźni: Chrystus zechciał być mężczyzną. Nie traćcie nadziei, kobiety: Chrystus zechciał narodzić się z kobiety. Obydwie płci przyczyniają się do zbawienia”. Jest równość w darach łaski, w miłości, w godności. Nie ma prostej symetrii.

\*

Dlatego też, z Maryi, chrześcijaństwo jest religią serca. Maryja zrodziła chrześcijańską serdeczność. Benedykt XVI:

„Postać Maryi w szczególny sposób porusza ludzkie serca. Zarówno serca kobiet, które czują się rozumiane i bliskie Maryi, jak i serca mężczyzn, którzy nie zatracili niezbędnej wrażliwości wobec macierzyństwa i dziewictwa. Mariologia zrodziła chrześcijańską serdeczność. Właśnie tutaj chrześcijaństwo jawi się jako religia ufności, otuchy. A te pierwotne, proste modlitwy, które ułożyła ludowa pobożność i które nigdy nie straciły na świeżości, podtrzymują chrześcijan w ich wierze, ponieważ dzięki Matce czują się oni tak blisko Boga, że religia nie jest już ciężarem, lecz otuchą i pomocą w życiu”.

Kontrapunkt do powyższych słów jest taki: „uczucia zawsze muszą być kontrolowane i oczyszczane. Nie mogą się wyradzać w czysty sentymentalizm, który nie stąpa po ziemi

i nie potrafi poznać wielkości Boga. Ale od czasów oświecenia obserwujemy – współcześnie mamy do czynienia z nowym oświeceniem – tak ogromne dążenie do racjonalizacji i purytanizacji, że serce występuje przeciw tym trendom i trzyma się mariologii”.

Dla maryjności charakterystyczna jest synteza dwóch wymiarów, istotnych dla chrześcijaństwa - personalistycznego i inkarnacyjnego. Pierwszy „ściąga” stale akcent ze struktur i instytucji na osobę i osoby, z procedur na żywego człowieka; drugi nie pozwala wiary chrześcijańskiej „odcieleścić”, „przeduchowić”. Puenta byłaby taka: ze względu na oba te wymiary pierwiastek maryjny implikuje domenę serca, sferę afektywną, i w ten sposób osadza wiarę na najgłębszych podstawach człowieczeństwa.

Nieźrównane jest tu nauczanie Jana Pawła II, bardziej nam znane. Ale i Benedykt XVI, którego nauczanie staram się tu przybliżyć, jest maryjny do szpiku kości, do samego rdzenia swej katolickiej duszy... Do tematu maryjnego – jednego z mu najdroższych – wracał często, nieraz wznosząc się na wyżyny literackiego i teologicznego kunsztu, płomiennie, nie bojąc się czułości... Oto zdania, które, przeczuwam, przetrwają wieki, posłuchajmy ich siły i piękna:

„Aby móc zrealizować swe Przymierze, Bóg szukał młodego serca i znalazł je u Maryi, «młodej kobiety»”. Cześć dla Niej, „dla tej Kobiety, w której łonie przyjął On ludzką naturę i odczuwał bicie Jej serca; dla tej Kobiety, która z delikatnością i szacunkiem towarzyszyła Mu przez całe Jego życie, aż do momentu śmierci na krzyżu”. Ona „żyje z sercem nieustannie zwróconym ku Bogu”. Ona „ukazuje nam, czym jest miłość i gdzie ma swoje źródło”, a także „w jaki sposób taka miłość jest możliwa”. „Mamy Matkę w niebie. Niebo stoi nam otworem, Niebo ma serce”.

\*

By to ostatnie się stało, Benedykt XVI przypomina za encykliką *Redemptoris Mater* Jana Pawła II słowa Czwartej Ewangelii w dosłownym przekładzie: „I od tej godziny uczeń wziął Ją sobie do własnego wnętrza” (J 19,27). I obaj wielcy papieże apelują: chodzi o nawiązanie z Nią bardzo osobistej relacji, o dopuszczenie Maryi do samego wnętrza życia umysłowego i duchowego, powierzenie się Jej kobiecości i macierzyństwu, wzajemne zaufanie sobie.

Ona nie jest tamą dla strumienia miłości Boga, ale akweduktem – według genialnego obrazu św. Bernarda z Clairvaux. Podstawowe znaczenie ma tu Jej pokora i płynąca zeń

wolność (od siebie samej), które sprawiają, że nie zatrzymuje Ona dla siebie żadnego z darów. Wielki Bernard tak radzi:

„W niebezpieczeństwach, w niedostatkach, w niepewnościach [...] myśl o Maryi, przyzywaj Maryję. Niech Ona nigdy nie schodzi z twoich ust, niech nie opuszcza nigdy Twojego serca, a żeby Jej modlitwa była ci pomocna, nigdy nie zapominaj przykładu Jej życia. Postępując z Nią, nie zbłądzisz; modląc się do Niej, unikniesz rozpacz, myśląc o Niej, nie zбочysz z drogi. Gdy Ona cię wspierać będzie, nie upadniesz; gdy opiekować się tobą będzie, nie złękiesz się; gdy przewodniczyć tobie będzie, nie doznasz znużenia; gdy łaskawa dla ciebie będzie, dojdiesz do celu”.

A w modlitwie znanej jako *Memorare* dodawał rzecz w naszym kruchym i niedoskonałym świecie niesłychaną:

„Pomnij, o Najświętsza Panno Maryjo, że nigdy nie słyszano, abyś opuściła tego, kto się do Ciebie ucieka”.

Nigdy. Zaiste bowiem jest Ona oknem Boga.

# O pierwszeństwie Boga

(Łk 4, 1-13)

To, co Benedykt XVI ma najważniejszego i najgłębszego do powiedzenia na temat istoty i rozumienia pokusy, także na temat samych zmagania z kuszeniem i odpierania go, jest zawarte w kilku medytacjach biskupa, kardynała, a potem i papieża na temat kuszenia Jezusa na pustyni. Najdojrzałą formę przybrały one w *Jezusie z Nazaretu*<sup>18</sup>.

Oto „ku naszemu zaskoczeniu” – pisze Benedykt XVI w drugim rozdziale drugiego tomu – wszystkie trzy Ewangelie synoptyczne opowiadają, że pierwsze polecenie dane przez Ducha (!) Jezusowi (co dopiero „namaszczonego” Duchem Pańskim podczas chrztu w Jordanie) wyprowadza Go na pustynię, „aby był kuszony przez diabła” (Mt 4,1). Jezus zstępuje w ten sposób w zagrożenia każdego człowieka, w dramat ludzkiej egzystencji – do dna. Jego publiczna działalność musi być poprzedzona wewnętrznym skupieniem, a ono jest z konieczności zmaganiem przeciw wypaczeniom otrzymanej misji, które wydają się prawdziwym jej spełnieniem. To istota kuszenia... Czy czegoś to nam nie przypomina – wypaczenie misji jako jej pozorne spełnienie?

Lecz prawdziwą istotą istoty tego Jezusowego/chrześcijańskiego pustynnego pokuszenia, wyjaśnia Papież, „jest odsunięcie Boga”, to znaczy uznanie Go za coś drugorzędnego, niepotrzebnego i zakłócającego wielką sprawę wybawienia człowieka i służby dla ludzkości. Odrzucić Boga jako iluzję, za realne uznając namacalne – władzę i chleb. Czy Bóg jest rzeczywisty i dobry, czy też w twardych realiach życia „sami musimy wynaleźć dobro”? Oto pytanie Kusiciela.

Pierwsza i druga (przemień kamienie w chleb i rzuć się w dół), rozpoczynają się od „jeśli jesteś Synem Bożym”. Czyli, zdaniem Benedykta XVI: zerwij ostatecznie zasłonę otaczającej Cię tajemnicy, udowodnij, że jesteś Synem Bożym, wysłannikiem Najwyższego. Za mało się wykazałeś, póki co, nie przekonałeś nas.

---

<sup>18</sup> J. Ratzinger/Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu. Studia z chrystologii* (Opera omnia, t. VI/1), tł. M. Górecka, W. Szymona, red. K. Gózdź, M. Górecka, Wydawnictwo KUL, Lublin 2015, s. 145–159.

W przypadku pierwszej pokusy (przemień kamienie w chleb) dowodem ma być cud, który – mówiąc dzisiejszym językiem – rozwiązałby problemy socjalne. Czyż nie one powinny być pierwszym i właściwym kryterium zbawienia? Więc jeśli chcesz być uznany za wysłannika Boga (za Kościół Boga, za wiarygodnego księdza etc.), to zatroszcz się najpierw o chleb dla ludzi, dla świata. Po tym rozpoznamy Twoją (Jezusie) i waszą (chrześcijanie) wiarygodność: po doczesnym wybawieniu człowieka. W odpowiedzi Ratzinger cytuje męczennika czasów hitleryzmu, jezuitę Alfreda Delpa: „chleb jest ważny, ważniejsza jest wolność, a najważniejsza – niezłomna wierność i nigdy niezdradzona adoracja”, dodając: „Tam, gdzie Boga uważa się za drugorzędną kategorię, którą można czasowo lub w ogóle odsunąć na bok ze względu na inne ważniejsze sprawy [chleb!!! – JSz], tam ponoszą porażkę właśnie te inne, rzekomo ważniejsze sprawy” [chleb!!! – JSz].

W drugiej pokusie (rzuć się w dół, bo jest napisane, że aniołom swoim rozkaże...) diabeł występuje jako znawca Pisma i teolog, co już samo w sobie powinno każdego księdza, biblistę i teologa postawić w stan najwyższej uwagi. Bowiem, zauważa tu nie bez goryczy Benedykt XVI (przecież wybitny teolog), „interpretacja Biblii może rzeczywiście stać się narzędziem Antychrysta”, a teologia posłużyć do demontażu wiary. Idąc tym Ratzingerowym tropem, ja osobiście (jako ksiądz i teolog) rozumiem sugestie Kusiciela następująco: uprawiaj taką teologię (w swoim duszpasterstwie, na swojej ambonie, w uniwersyteckiej katedrze), w której wiara nie będzie istotna, w której Bóg nie będzie mówił i w której Bóg ma nie mieć nic do powiedzenia – poza tym, co ty Mu powiedzieć pozwolisz... Tymczasem pycha, która chce „zawładnąć” Bogiem (nawet przy pomocy tak subtelnego narzędzia jak słowo Boże...) i narzucić Mu „nasze warunki laboratoryjne”, nigdy prawdziwego Boga nie znajdzie. Nie wolno poddawać Boga eksperymentom, odpowiada Jezus Kusicielowi. Bóg jest Miłością i tej Miłości należy jest wewnętrzny posłuch i poddanie, a nie wystawianie jej na próbę, czyli manipulacja świętością (groźna dla księdza ekstremalnie...).

Trzecia pokusa (upadnij i oddaj mi pokłon, a wszystko Ci dam), zdaniem Benedykta XVI, „najważniejsza, fundamentalna”, jest w gruncie rzeczy „pytaniem o to, co ma czynić zbawca świata” – tu Jezus, ale w dalszej kolejności i ci, rzecz jasna, którzy mają udział w Jego misji. Kusiciel powiada: oddać cześć temu, do którego należy moc dać „to wszystko” – uznać pierwszeństwo władcy tego świata. W interpretacji papieża brzmi to tak: przyznać pierwszeństwo temu, co rozsądne, zaplanowanemu i zorganizowanemu światu (Bóg może tam mieć swoje miejsce, oczywiście, ale jako sprawa prywatna, „bez możliwości wtrącania się w nasze istotne zamiary”), rozumieć i przeżywać chrześcijaństwo jako receptę na postęp

i dobro bytu (oto prawdziwy cel religii)... Tymczasem Jezus obietnicy przyszłości, w której władza i ekonomia wszystkim zapewnią wszystko (przepych wszystkich królestw świata, Mt 4,8), przeciwstawia „boskość Boga – Boga jako rzeczywiste dobro człowieka”.

A więc odsunąć Boga, pominąć Go, zdegradować, zdewaluować i zdemontować wiarę. A to wszystko nie tylko pod pozorami dobra, ale wręcz przy pomocy dobra, osiągnięć, postępu etc. Oto sedno trzech pustynnych pokus wobec Jezusa i Kościoła wszystkich czasów, w interpretacji Josepha Ratzingera/Benedykta XVI. One są modelem wszelkich ich nowych wersji – także najnowszych – i kuszeń pomniejszych.

\*

Czym właściwie jest chrześcijańskie nawrócenie/*metanoia*? Procesem od-wrotu i powrotu, procesem, w którym chodzi o coś znacznie więcej niż o jednorazowy akt myślenia, odczuwania czy pragnienia. Chodzi o powrót egzystencji do samej siebie, o ruch do wewnątrz, do ostatecznej głębi człowieka. Ale nie do tego obszaru, który jest potwierdzeniem naszego egotyzmu i narcyzmu, zamknięciem w kręgu „samorozwoju” przy oklaskach znieprawionego sumienia. Chodzi o odwrót/powrót: o opuszczenie siebie i zwrócenie się do wołającego i przychodzącego z zewnątrz Boga, do owego Kogoś Innego, do „Ty”, które otwiera życie i właśnie przez to je wyzwala. Odwrót od fałszywego siebie jest tu powrotem do Boga i tym samym do prawdziwego siebie. Dlatego *metanoia* jest równoznaczna z posłuszeństwem i wiarą. Nie jest ona jedną z chrześcijańskich postaw, ale podstawą postaw. Być chrześcijaninem znaczy zmieniać się nie tylko pod pewnym względem czy w konkretnym czymś, ale aż po ostateczną podstawę swego bytu i istnienia. Ku Bogu.

Chodzi więc o zmianę, owszem, ale nie ma to nic wspólnego ze współczesnym kultem ruchu i zmiany, z tzw. postępem i modernizacją, mobilnością i innowacyjnością (brrr...), które otacza dziś prawie religijny blask (etykieta konserwatysty, „nienadążającego”, równa się społecznemu wykluczeniu). Chodzi o ten rodzaj zmiany, który jest tożsamy z wiarą/wiernością, jest przemianą, której wierność nie wyklucza, ale – uwaga! – ją umożliwia. Postęp (po-stąpić jako od-wrócić się od nie-boga i po-wrócić do Boga) i wierność wzajemnie się tu warunkują. Inaczej: wytrwanie w „tak” mówionym Bogu wymaga nieustannej gotowości do przemian.

Nawrócenie jest więc aktem wiary/wierności, czyli także oporu wobec zmian urągających wierności. A to wymaga odwagi, czyli też sprzeciwu wobec tego, że tak „się”



dzisiaj myśli i robi (np. teraz „się” mieszka ze sobą przed ślubem). Ratzinger: „beztroski progresizm z pierwszych lat po Soborze, który z entuzjazmem solidaryzował się z tym wszystkim, co nowoczesne i obiecujące postępowanie i z gorliwością wzorowego ucznia starał się wykazać zgodność tego, co chrześcijańskie, z tym wszystkim, co nowoczesne, oraz lojalność chrześcijan w stosunku do trendów” epoki, okazały się chybione i z perspektywy jeszcze nowszych trendów (np. ekologicznych, feministycznych) są podejrzane „o szerzenie apoteozy późnokapitalistycznego społeczeństwa. Chrześcijaństwo, które swoje zadanie widzi tylko w tym, aby zawsze być na czasie, nie ma nic do powiedzenia i nic nie znaczy”. Może też spokojnie odejść do muzeum... Przyczyną dzisiejszego kryzysu Kościoła jest to, że pragniemy się ostać w oczach świata, że nie chcemy zerwać ze światem i jego miarami – owo zerkanie na „Się” (tak się dzisiaj myśli i robi) niszczy Kościół, bo „Się” dysponuje środkami presji i przemocy; „Się” wie jak niszczyć Kościół. Ale, radzi Ratzinger, **„raz straciwszy reputację, człowiek żyje swobodniej. Odwaga zerwania ze światem daje wolność.** Taka odwaga w języku biblijnym nazywa się *metanoia*”.

Oto istota nawrócenia: synteza przemiany i wierności, ich wzajemne zazębianie się. Zmiana w stronę przywrócenia Bogu tronu w życiu. W praktyce nie chodzi o heroiczne wyczyny, lecz o prostą wierność, cierpliwość z Bogiem i cierpliwość Boga z nami. O stałą przemianę ku temu co trwałe i jedyne. Boże.

\*

Ratzinger: „Najważniejszy jest Bóg! Jeżeli nie ma Go w twoim życiu, wszystko inne się nie sprawdzi. To tak, jakby zapiąć źle pierwszy guzik, wówczas wszystkie inne też są źle zapięte i trzeba zacząć znowu od góry. Jeżeli podstawowa relacja – relacja do Boga – nie jest właściwa, wszystkie inne relacje, z których składa się i buduje nasze życie, nie mogą być właściwe”.

I to jest właśnie istotą kuszenia, o którym tu mowa: żeby źle zapiąć pierwszy guzik.

*Kyrie, eleison* – Panie, ratuj!